

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Cena 60 gr.

Rok VIII

Warszawa, 6 kwietnia 1952 r.

Nr 14 (332)

C. S. LEWIS

ROZWAŻAJĄC SENS CIERPIENIA...

W Chrześcijańskiej koncepcji cierpienia tkwi paradoks. Błogosławieni ubodzy, ale dzięki sprawiedliwości społecznej i jałmużnie można zasadniczo usunąć wszelką biedę. Jesteśmy błogosławieni kiedy cierpimy, lecz możemy modlić się do Boga, aby nam cierpienie oszczędził, tak jak to uczynił Chrystus w Getsemannie.

Lecz jeśli cierpienie jest dobre, czyż nie należy go raczej szukać niż unikać? Myślę, że cierpienie nie jest dobre samo w sobie. W każdym bolesnym doświadczeniu poddanie się woli Bożej stanowi dobro dla cierpiącego, a dla otoczenia dobro takie stanowi powstające wówczas współczucie i litościwe uczynki, do którego ono prowadzi. W upadłym i ciężko odkupionym wszechświecie możemy rozróżnić 1) Proste dobro pochodzące od Boga, 2) Proste zło spowodowane przez zbuntowane stworzenia i 3) wykorzystanie zła przez Boga dla odkupienia świata, co stwarza 4) złożone dobro, do którego przyczynia się przyjęte w pokorze cierpienie i żal za grzechy. Jednak fakt, że Bóg może stworzyć złożone dobro z prostego zła nie usprawiedliwia tych co je czynią, chociaż dzięki łasce może ono być darowane. I to rozróżnienie jest zasadnicze. Lecz biada tym co czynią zło. Grzech powoduje łaskę, lecz nie wolno nam tym usprawiedliwiać naszych grzechów. Samo ukrzyżowanie jest najlepszym i jednocześnie najgorszym ze wszystkich zdarzeń historycznych, lecz rola Judasza zawsze pozostanie prostym złem.

Zastosujmy to do zagadnienia cierpienia innych ludzi. Miłosierny człowiek dąży do dobra swego bliźniego zgodnie z „wolą Bożą” świadomie współpracując z „prostym dobrem”. Okrutny człowiek prześladuje swego bliźniego czyniąc w ten sposób „proste zło”. Ale czyniąc to zło, jest użyty przez Boga, bez swej wiedzy, dla tworzenia „dobra złożonego” — i tak pierwszy służy Bogu jako syn, a drugi jako narzędzie. Cokolwiek byśmy czynili, służymy celom Boga. Jednak dla nas istnieje różnica, czy służymy jak Judasz, czy jak Jan. Cały system, jeśli można tak powiedzieć, jest oparty na przeciwstawieniu ludzi dobrych ludziom złym, a dobre owoce miłości, cierpliwości, litości i przebaczenia, dla których okrutnikowi pozwolono być okrutnym, dowodzą, że dobry człowiek poszukuje zazwyczaj prostego dobra. Mówię „zazwyczaj”, gdyż niekiedy człowiek jest upoważniony do sprawiania bólu (a nawet według mnie), do odbierania życia bliźniemu, lecz tylko w razie uzasadnionej konieczności i kiedy dobro przez to osiągnięte jest oczywiste. Zwykle (aczkolwiek nie zawsze)

ten kto sprawia ból winien być należycie upoważniony, aby tak czynić — winien posiadać władzę rodzicielską daną mu od natury, lub sędziowską czy wojskową otrzymaną od społeczeństwa, czy też, będąc lekarzem powinien być upoważniony przez chorego (jak to najczęściej ma miejsce) do przeprowadzenia operacji.

Uczynić z powyższego ogólną zasadę dla utrapienia ludzkości „gdyż strapienie jest dla nich dobre” nie będzie w istocie rzeczą zniszczeniem planu Boskiego, lecz dobrowolnym oddaniem się w służbę Szafranowi w ramach tego planu. Jeśli pracujemy dlań, musimy być przygotowani na jego zapłatę. Problem unikania przez nas cierpienia może być podobnie wytłumaczony. Niektórzy ascetycy stosują „moudreczenie”.

Nie wydaję opinii na temat roztropności takiego postępowania, lecz twierdzą, że samoudreczenie jakkolwiek zasługiwałoby na pochwałę lub nie, jest czymś zgoła odmiennym od cierpienia zesłanego przez Boga. Co innego jest post, a co innego nie je dzień obiadu przez przyłek lub z powodu choroby. Post wymaga zwalczania w sobie apetytu — nagrodą jest samopokorowanie i pokonanie niebezpieczeństwa pychy, niedobrowolny głód poddaje zarówno apetyt jak i wolę — woli Bożej, narażając nas na niebezpieczeństwo buntu przeciw niej. Lecz siła cierpienia leży głównie w zwalczaniu odruchu takiego buntu.

Praktyki ascetyczne, same przez się kształcące wolę, są o tyle pożyteczne o ile pomagają nam opanować własne namiętności, a by ofiarować całego siebie Bogu. Są one potrzebne jako środek, jako cel sam w sobie byłoby odrażające, gdyż zastąpienie apetytu wolą byłoby jedynie zamianą zwierzęcego „ja” na diabelskie „ja”. Było przeto prawdziwie powiedziane, że „jedynie Bóg może zniszczyć”.

Cierpienie spełnia swe zadanie na świecie, kiedy ludzie usiłują godziwymi sposobami uniknąć naturalnego zła i zdobyć naturalne dobro. W celu poddania woli Bogu, musimy posiadać wolę i ta wola musi mieć swoje cele. Chrześcijańskie wyrzeczenie nie jest równoznaczne ze stoicką „apatia”, jest to gotowość wybrania Boga ponad niższe cele, będące same w sobie godziwymi. Dlatego Doskonały Człowiek w ogrodzie Getsemany wyraził wolę i to silną wolę u

niechęcia cierpienia i śmierci, o ile byłoby to zgodne z wolą Ojca, w przeciwnym razie okazał On doskonałą gotowość posłuszeństwa. Niektórzy święci zalecają zupełne wyrzeczenie się jako wstęp do dalszych ćwiczeń duchowych, sądząc że oznacza to jedynie gotowość do każdego poszczególnego wyrzeczenia się, gdyż nie byłoby możliwe nie mieć w życiu żadnych pragnień, poza chęcią poddania się Bogu. Jakże byłby material do takiego poddania się? Wydawałoby się sprzecznością samą w sobie powiedzieć: „to czego chcę, jest poddać woli Bożej to czego chcę”, gdyż drugie *To* nie zawiera żadnej treści. Niewątpliwie poświęcamy zbyt wiele uwagi unikaniu naszych własnych cierpień, ale ta chęć uniknięcia ich przy zastosowaniu godziwych środków jest zgodna z „naturą” — to jest z całym systemem naszego życia, w które włączona jest zbawcza siła cierpienia.

Byłoby przeto zupełnie fałszywe przy przeciwności losu przestaną ich gnębić. Nie twierdzą bynajmniej, że radykalne zmiany naszego systemu społecznego nie są pożądane; pragną tylko ostrzec czytelnika przed traktowaniem zwykłego lekarstwa jako eliksiru życia.

Skoro w rozważaniach naszych natknęliśmy się na zagadnienia polityczne, musimy wyjaśnić, że chrześcijańska doktryna uległości i posłuszeństwa jest czysto teologiczną, a zupełnie nie polityczną doktryną. Nie mówię na tym miejscu o formach rządu, władzach cywilnych czy o posłuszeństwie dla nich. Rodzaj i stopień posłuszeństwa, jakie stworzenie winno swemu Stwórcy jest szczególnie ponieważ stosunek między stworzeniem a Stwórcą jest szczególny; nie można wyciągnąć zeń żadnych wniosków dla celów politycznych.

Chrześcijańska doktryna cierpienia tłumaczy nam ciekawe zjawisko w naszym życiu. Bóg odmówił nam, z samej natury tego świata, trwałego szczęścia i bezpieczeństwa, których wciąż pragniemy, natomiast udzielił nam hojnie radości, przyjemności i uciechy. Nie jesteśmy nigdy bezpieczni, ale mamy dużo radości, a nawet uniesień. Nie trudno jest dojrzeć dlaczego. Bezpieczeństwo, którego pragniemy, nauczyłoby nas pozostawiać nasze serca na tym świecie, a nie dążyć do ponownego połączenia się z Bogiem; nieliczne chwile szczęśliwej miłości, zachwyty nad uroczym zakątkiem, harmonii, radosnych spotkań z przyjaciółmi, czy przyjemnych rozrywek nie stwarzają takich pokus. Ojciec Nasz pozwała w naszej ziemskiej podróży zażyć przyjemnych postojów, nie wolno jednak traktować ich jako domu.



Aldo Patocchi

(Jezus) wiedząc, że Ojciec oddał wszystko w jego ręce, że od Boga wyszedł i do Boga zdąży, wstaje od wieczerzy, składa szaty swoje, a wzięwszy prześcieradło przepasuje się. Potem nalewa wody do misy i poczyna umywać nogi uczniom i wycierać prześcieradłem, którym się był przepasał. Zbliży się tedy do Szymona Piotra. I rzecze mu Piotr: Panie, ty mnie

nogi umywasz? Odpowiadając Jezus, rzekł mu: Co ja czynię, ty jeszcze nie rozumiesz, ale zrozumiesz potem. Rzecze mu Piotr: Nigdy mi nóg nie będziesz umywał. Odpowiedział mu Jezus: Jeśli Cię nie umyję, nie będziesz miał uczestnictwa ze mną. Rzecze mu Szymon Piotr: Panie, nie tylko nogi moje, ale ręce i głowę. J. 13, 3—9 (Z Ewangelii na Wielki Czwartek.)

W NUMERZE m. in.:

R. BUCHAŁA — Prawo własności w Projekcie Konstytucji
S. TYRO — W Oberammergau
J. SIWKOWSKA — Zwyczaj wielkopostne w dawnej Polsce
R. M. RILKE — O męce Pańskiej

Z. LICHNIAK — Diagram rozwoju czyli o tzw. powieści produkcyjnej

W. WNUK — O księżkach Wybrzeża

Dorozmawiamy...

Do Pani I. R.

JEST Pani zaniepokojona a nawet wręcz zgorzorna zamieszczeniem przez nas artykułu: „Czy kryzys rodziny?”. Nie może Pani zrozumieć „...jak tego typu artykuł mógł się dostać na łamy poważnego pisma i dlaczego „Dziś i Jutro“ uważało za właściwe rozpoczęcie dyskusji na tak zasadniczy temat od artykułu, który ani nie wyczerpał tematu, ani nie postawił problemu w sposób uczciwy...”

Uważa Pani, że „...artykuł jest wyraźnym uderzeniem w nasze najpiękniejsze i najcenniejsze tradycje ogniska domowego i w istotne powołanie kobiety: żony i matki“. Zdaniem Pani autorka artykułu niefrasobliwie i całkowicie bez poczucia odpowiedzialności podważyła te wszystkie wartości, które uczono kochać i czcić, usiłowała za „jednym zamachem zburzyć gmach przesądów jak i istotnych wartości“ „Czy katolik — pyta Pani — może zgodzić się na to, aby z pojęcia rodziny, z tego czym ona jest i co oznacza, usuwano element ogniska domowego? Jest to przecież to samo, co pozbawić ciało duszy“.

„Przy tym — pisze Pani w dalszym ciągu — autorka dochodzi do wniosku, że jeśli przewycięży się te właśnie tradycje, to znikną właściwie wszystkie trudności, bo resztę załatwi postęp cywilizacji“.

„Czy człowiek uczciwy — pyta znowu Pani — może tak stawiać sprawę? Czy autorka naprawdę wierzy w to, co napisała“?

Pani Zofio! Jesteśmy bardzo wdzięczni Pani za ten list i za to szczerze oburzenie. Dobrze jest, jeśli czytelnicy reagują na nasze artykuły, a jeszcze lepiej, jeśli reakcja ta jest żywa i silna. Dopiero wówczas bowiem można sobie uświadomić, czy sprawy poruszane przez nas są ważne czy nie ważne i czy obchodzą kogoś więcej poza autorem. A teraz będziemy próbowali trochę wyjaśniać a trochę bronić się przed Pani zarzutami. Jeżeli podajemy jakiś problem pod dyskusję, to nie dlatego, że ten czy inny artykuł nie wyczerpał tematu, ale dlatego, że nie posiadamy dostatecznych materiałów do jego rozwiązania. Stąd artykuł dyskusyjny ma za zadanie problem postawić a nie wyczerpać go.

A teraz sprawa samego postawienia problemu. Tutaj trzeba przyznać jesteśmy trochę rozczarowani. Oczekiwaliśmy przede wszystkim zarzutu, że mówienie o kryzysie rodziny może wydawać się niesłuszne z punktu widzenia katolika. Kryzys w sensie zaniku i rozpadu w ogóle nie może grozić instytucji rodziny jako takiej. Trzeba by było wówczas zwrócić uwagę, że autorce o nic bardziej nie chodziło jak o doprowadzenie czytelnika do tego właśnie wniosku.

Jeżeli natomiast chodzi o to, co Pani nazywa „uderzeniem w najcenniejsze tradycje“, wydaje się, że musiało nastąpić tu jakieś nieporozumienie. Skoro bowiem w artykule stwierdza się, że obecnie istnieje tendencja do odciążenia kobiety z części zajęć domowych i stawia się pytanie, czy wobec tego zostaje podważona istotna struktura życia rodzinnego — nie zdaje się, żeby to miało godzić w jakiegokolwiek tradycję, a tym bardziej w te „najcenniejsze“. Jeżeli natomiast gotowanie, pranie, cerowanie itp. drobne funkcje gospodarskie będziemy uważali za „istotne powołanie kobiety: żony i matki“ i jeżeli domu i rodziny nie jesteśmy w stanie wyobrazić sobie bez dymiących rondli i balii do prania, wówczas niewątpliwie można mówić o „uderzeniu“ w tradycję... tylko czy rzeczywiście w „najcenniejsze“?

Czy naprawdę we wspólnocie rodzinnej te właśnie funkcje mają odgrywać najważniejszą rolę? Trzeba się raz jeszcze zastanowić i prze-myśleć, trzeba naprawdę uczciwie zdać sobie sprawę, jaką treść zawiera w sobie to, co zwykliśmy określać mianem „ogniska domowego“ i czy zawsze w każdej epoce i w każdej sytuacji jest ona związana zasadniczo i nierozdzielnie z pojęciem rodziny?

Wydaje się nam, Pani Zofio, że mówiąc o „ognisku domowym“ musiła Pani mieć raczej na myśli atmosferę domu rodzinnego, tę sumę przeżyć wspólnych, które łączą rodzinę, a nie poszczególne funkcje, które z równym powodzeniem mogą być wykonywane w domu jak poza nim.

Jeżeli życie rodzinne nie ponosi uszczerbku na tym, że dziecko uczy się poza domem, dlaczego miałyby go doznawać na skutek faktu zjedzenia przez nie poza domem obiadu? Czyżby funkcja jedzenia miała być ważniejsza od funkcji uczenia się? Nie chcemy być złośliwi, ale nie można oprzeć się przekonaniu, że cały problem tak ujętego „ogniska domowego“ sprowadza się stanowczo bardziej do ciała niż do duszy.

Czy zatem nie należy dążyć do przewyciężenia takiego pomieszenia pojęć, gdzie na miejsce spraw najbardziej ważnych i istotnych, tego, co rzeczywiście stanowi wieź rodzinna, stawia się elementy drugorzędne, nie zawsze niezbędne i konieczne, które w równym stopniu mogą wchodzić jak i nie wchodzić w treść życia rodzinnego.

Mówi Pani, że dowodzi to „nieodpowiedzialności“ autora — a może tylko chęci ukazania rzeczy takimi, jakie one są, może tylko wyciągnięcia wniosków ze stanu faktycznego, ze stanu, który rzeczywiście istnieje. Trudności? — oczywiście że istnieją trudności. Nie było naszym zamiarem twierdzenie, że ich nie ma. Czyżby rzeczywiście wynikało z artykułu, że wszystko jest w porządku? Byłoby to zarówno niezgodne ze stanem faktycznym jak z tendencją autora. Ale wydaje się, że taki wniosek mógłby wyciągnąć tylko ktoś, kto nie bardzo uważnie czytał artykuł. Jeżeli bowiem mówi się, że z rozwojem przemysłu zniknie poważna część tych trudności, to nie znaczy to oczywiście, że znikły one już obecnie i nawet, że znikną prędko — odwrotnie trzeba długiego jeszcze okresu wzmoczonego wysiłku, aby to nastąpiło. Jeżeli przy tym mówi się, że w spadku nie zawsze wartościowych i istotnych tradycji kulturalnych tkwi również poważna część tych trudności — nie znaczy to z kolei, aby się w ten sposób rzeczywiście wyczerpało wszystkie trudności. Istnieje niewątpliwie cały zakres mniej i więcej skomplikowanych sytuacji indywidualnych, nie chodziło jednak przecież o charakterystykę tej czy innej rodziny, ale o jakąś próbę nakreślenia generalnej sytuacji rodziny w Polsce na jej obecnym etapie historycznym oraz nerspektyw, jakie ustrój socjalistyczny stawia przed nią.

Wydaje się, że wyjaśnienia te były jakoś potrzebne, abyśmy się mogli w przyszłości lepiej zrozumieć. Sądzymy bowiem, że jeszcze niejednokrotnie będziemy wzmianki ze sobą nasze poglądy.

Łączymy wyrazy prawdziwej życzliwości

W. Z.

DYSKUSJA O POLSCE

W początkach lutego 1952 r. na łamach prasy belgijskiej wywiązała się polemika, która wywołała szeroki oddźwięk w opinii publicznej Belgii i której punktem wyjścia był artykuł o Polsce oceniający w sposób obiektywny osiągnięcia Polski Ludowej. Dyskusja na temat tego reportażu o Polsce posiada inne jeszcze znaczenie. Jest ona bowiem jaskrawą ilustracją specyficznych stosunków panujących wśród prasy w krajach atlantyckich. Wystarczy, aby dziennikarz nie należący nawet do obozu lewicy zdobył się na bezstronną i uczciwą ocenę sytuacji krajów Demokracji Ludowej a natychmiast spotka on się z nagonką, której celem jest zmuszenie obiektywnych obserwatorów do milczenia lub do tchórzliwego wycofania się ze stanowiska. Artykuł, o którym mowa, napisany był przez adwokata i publicystę belgijskiego Paule'a Demeulenaere, który ostatnio brał udział w wycieczce belgijskiej do Polski, zorganizowanej przez Komitet Współpracy Kulturalnej z Zagranicą.

Demeulenaere opublikował swój reportaż zawierający wrażenia wyniesione z tej podróży w tygodniku belgijskim „La Relève“ (Zmiana Wartości). Jest to organ lewicujących katolików belgijskich.

Po naszkicowaniu obrazu straszliwej ruiny i olbrzymich strat w ludziach, jakie poniosła Polska podczas drugiej wojny światowej, autor podkreśla „zdumiewającą żywotność“ i optymizm narodu polskiego. „Cechy te — pisze autor — są wynikiem podstawowych cnót tego narodu: miłości ojczyzny i niezwalczanej odwagi. Inne narody europejskie przechodziły również okrutne cierpienia i były również odważne, jednakże tego co można zaobserwować w Polsce nie podobna porównać z nastrojami w innych krajach. Wydaje się rzeczą pewną, że zmartwychwstanie Polski było w znacznym stopniu ułatwione przez zmiany, jakie zaszły, po zakończeniu wojny, w jej strukturze społecznej i gospodarczej“.

Dał następującą opis Polski przedwojennej, na tony feudalnej, opornawanej przez obcy kapitał i rządzonej przez ugrupowania militarne.

„Obecne reformy — stwierdza au-

tor — wykazują, ponad wszelką wątpliwość, że naród polski zdołał opanować swe życie gospodarcze“.

Ten sukces ekonomiczny, osiągnięty dzięki planowaniu (Plan Trzyletni i pierwsze dwa lata Planu Sześcioletniego) zawdzięcza naród polski dobrej organizacji i zbiorowemu wysiłkowi.“ Jednakże — podkreśla autor — ten wysiłek zbiorowy nie jest bynajmniej bezosobowym. Na każdym odcinku pracy i na każdym szczeblu praca poszczególnych jednostek od-cina się wyraźnie. Premie i odznaczenia przyznawane są robotnikom, wyróżniającym się przekroczeniem normy i przodującym we współzawodnictwie pracy“.

W tym miejscu autor przeprowadza porównanie między Belgią a Polską. „W Belgii, gdzie wydajność robotnika jest b. wysoka — wydajność robotnika polskiego wydawałaby się jednak nieosiągalna“.

W rozdziale zatytułowanym „Cienie na obrazie“ autor porusza sprawę walki klasowej. „Likwidacja wrogów klasowych wywołuje, oczywiście, opór z ich strony. Jednakże — dodaje autor — polski Franco miałby niewielkie szanse. Nie znalazłby on poparcia wśród mas ludowych, które oceniają osiągnięcia ekonomiczne rządu“.

W rozdziale końcowym swego reportażu Demeulenaere omawia stosunki polsko-radzieckie uzasadniając konieczność utrzymania przyjaźni między obu krajami.

Powyższy artykuł Demeulenaere'a spotkał się z niezwykle ostrym atakiem ze strony monarchistyczno-reakcyjnego dziennika belgijskiego „La Libre Belgique“ 6 lutego 1952 r. pod znamienym tytułem „Młodzi socjaliści chrześcijańscy śpieszą z sukurssem komunistom“, dziennik ten sygnalizuje „niepokojący nawrót zachwytu i jawnej sympatii dla tezy i realizacji komunizmu ze strony socjalistów chrześcijańskich“.

„La Libre Belgique“ pisze dalej „Nie zdawalibyśmy sobie trudu ujawnienia tych wycieczek, gdyby nie fakt, że grupa młodych chrześcijańskich socjalistów, w których organie drukowany był powyższy artykuł, wystawiła swych kandydatów na posłów do parlamentu belgijskiego i uzyskała wiele

mandatów. Czy będzie można dziwić się w przyszłości, jeśli partia socjalistyczno-chrześcijańska (obecnie partia rządowa) okaże zbyt wiele słabości w walce z elementami krańcowo-lewicowymi“.

„La Relève“ nie pozostaje dłużna w odpowiedzi na tę, nie pierwszą zresztą, napaść ze strony „Libre Belgique“. Dnia 9 lutego 1952 r. na łamach tego tygodnika ukazał się list otwarty napisany przez Fernanda Coupe i przeznaczony dla redaktora naczelnego „Libre Belgique“. Autor listu podkreśla, że reportaż Demeulenaere'a był wyłącznie wyrazem opinii Demeulenaere'a i że tygodnik „La Relève“ służył w tym wypadku jedynie jako wolna trybuna do wypowiedziania osobistych, niezależnych poglądów. W liście tym, w którym, nawiasem mówiąc, artykuł Demeulenaere'a jest pretekstem do rozgrywki politycznej między obu pismami, znajdujemy taki fragment: „Czy uważa pan, że wszystko co czyni się wartościowego w Polsce powinno być stale pomijane milczeniem? W gruncie rzeczy musi pan przyznać, że zapiski Demeulenaere'a o Polsce mało pana interesują. To, co was istotnie interesuje, w walce przeciw rewolucjonistom ze skrajnej lewicy, na co czyhacie tak, jak czyha kot na myszy, to na oznaki naszej słabości“.

Polemika między „La Relève“ i „Libre Belgique“ wywołała następujący komentarz ze strony postępowego dziennika belgijskiego „Le drapeau Rouge“ z dnia 8 lutego 1952 r.

Pod tytułem „Nie mówcie prawdy“ dziennik ten pisze: „Niech się mają na baczność pisma, zblizzone do belgijskiej partii rządowej (chrześcijańsko-społecznej), które zdobywają się na odrobinę uczciwości. Tygodnik „La Relève“ został oskarżony o propagandę na korzyść komunistów dla tego tylko, że nieszczęśny współpracownik tego tygodnika skomentował, iż w Polsce masy ludowe doceniają osiągnięcia materialne rządu obecnego i że „poziom życia robotnika i chłopca polskiego jest obecnie wyższy, niż przed wojną. Strzeżcie się więc młodzi chrześcijaństwo mający odwagę wypowiedziania tego, co myślicie i opisywania tego, co widzieliście“.

Z. K.

NOTATNIK POLITYCZNY

Wokół odpowiedzi na notę radziecką

MOŻLIWIE skonstruowana odpowiedź państw zachodnich na notę radziecką w sprawie traktatu pokojowego z Niemcami wymownie świadczy o konsternacji, jaką wywołały propozycje Z.S.R.R. w Waszyngtonie i w Bonn. Od początku zdawano sobie tam sprawę, że odpowiedź nie może być utrzymana w tonie zdecydowanie negatywnym. Odwzajemniały się wówczas z ostrym potępieniem większości społeczeństwa niemieckiego, nie wyjącając nawet tych jego odłamów, które nie są zorientowane proradziecko. Postanowiono więc grać na zwłokę i nie podejmując na razie merytorycznej dyskusji z postulatami radzieckimi, żądać „dodatkowych wyjaśnień“, dotyczących zwłaszcza stanowiska Z.S.R.R. w sprawie donuszenia Komisji O.N.Z. na terytorium N.R.D.

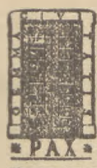
Choć jednak odpowiedź mocarstw zachodnich jest przede wszystkim próbą sprytnego uniku, w niektórych swoich punktach zawiera ona niedwuznaczne potwierdzenie negatywnego stanowiska U.S.A. i satelitów wobec problemu zjednoczenia i nieawisłości Niemiec. Jest więc w niej m.in. powiedziane, że rzekomo nie można jeszcze „wdać się w szczegółowe rozważania na temat traktatu pokojowego“, przy czym mocarstwa zachodnie nie wahają się nalegać na udział Niemiec w t.zw. „wspólnocie europejskiej“, stanowiącej, jak wiado-mo, jedno z bezpośrednich narzędzi agresywnego paktu atlantyckiego. Łączy się z tym ściśle „niefrasobliwość“, z jaka zostały potraktowane propozycje Z.S.R.R. podkreślające, że Niemcy nie powinny uczestniczyć w żadnych koalicjach lub w sojuszach wojskowych, skierowanych przeciwko któremukolwiek państwu, które brało udział w wojnie z Niemcami.

Z powyższego wynika jasno, że chociaż kłamka ostatecznie nie zapadła i podjęcie sugerowanych przez Związek Radziecki wstępnych rokowań nadal jest możliwe — U.S.A. czynią wszystko, ażeby zachować Niemcy Zachodnie w roli agresywnej bazy wypadowej.

Ażeby w pełni ocenić efekt radzieckiego posunięcia, warto było w okresie poprzedzającym opublikowanie odpowiedzi Zachodu śledzić reakcje konserwatywnej prasy i czołowych zachodnich polityków. Najbardziej reprezentatywne ośrodki wojennej inspiracji nie usiłowały tym razem stosować zwykłej taktyki bagatelizowania przeciwnika. Oficjalne komentarze Waszyngtonu, Londynu, Paryża i Bonn zgodnie choć z nietajonym niezadowoleniem stwierdzały, że propozycje radzieckie stanowią, jak to określił sam Adenauer, „pewien postęp“. Oczywiście starano się tam jednocześnie za wszelką cenę podtrzymać nastroje bądź to rzekomego zagrożenia, bądź właśnie na odwrót — wojennego nastawienia, co w praktyce miało służyć jednej i tej samej wojennej psychologii. Schumann np. patetycznie zapewniał parlament, że Francja nie może się zgodzić na istnienie samodzielnych niemieckich sił zbrojnych. Przmiało to cokolwiek humorystycznie w ustach człowieka, który parę tygodni wstecz uczynił wszystko, ażeby skłonić tenże parlament do zgody na odbudowę neo-hitlerowskiego Wehrmachtu w ramach „armii europejskiej“. Równie cynicznie ale z mniejszą hipokryzją komentował notę radziecką brytyjski „Yorkshire Post“ pocieszając zwolenników agresji, że „na razie nie ma powodu do paniki (sic!), ponieważ ZSRR stoi niewątpliwie na stanowisku utrzymania granicy na

Odrze i Nysie“. Oba przykłady mówią same przez się, na marginesie pierwszego warto jednak może było, by dodać, że suwerenne państwo, a takim przecież miałyby być Niemcy — posiada pełne prawo do utrzymania własnych sił zbrojnych i zasadniczy problem zaczyna się dopiero w tym punkcie, gdy się ustala cele armii i personalno-społeczne oblicze jej dowództwa. Otóż tymczasem nie o ile polemiki z inspiratorami wojny, ale gwoli obiektywizmowi łatwo wykazać, że nota radziecka rozpatrywana w swym całościowym jednoznacznie przesadza demokratyczny i pokojowy charakter przysięgi armii niemieckiej.

W oczekiwaniu na dalszy tok zasadniczego dialogu w sprawie Niemiec — uwaga światowej opinii koncentruje się tymczasem na pracach Komisji ONZ, która ogranicza się w Bonn do sondowania opinii tamtejszego reżimu i utrzymuje, że donoty nie przystąpi do realizowania swej właściwej misji na terenie Niemiec Zachodnich, dopóki nie uzyska odpowiedzi od rządu NRD, czy będzie można podobną akcję prowadzić w Niemczech Wschodnich. Nie od rzeczy będzie tu nadmienić, że ostatnio interesujące światło na rzekoma „neutralność“ tej komisji rzucił „Perliner Zeitung“ przypominając, że jej przewodniczący Albertson — przedstawiciel Islandii — otrzymał w 1940 r. na podstawie osobistej decyzji hitlerowskiego ministra Rusa 50% pożyczkę upożalenia, pobieraną z tytułu oficjalnie pełnionej funkcji docenta na uniwersytecie berlińskim oraz pytając, co wpłynęło na to, że Albertson jako cudzoziemiec mógł się podobnie poruszać po całym terenie Rzeszy w okresie wojny, co więcej podejmować z polecenia czynników hitlerowskich podróże za granicę?.



SŁOWO POWSZECHNE

PISMO CODZIENNE

m a p i ę ć l a t

CODZIENNA prasa katolicka nie wyróżniała się dotąd na rynku prasowym. Nowoczesna forma dziennikarska zaczęła się kształcić w epoce liberalizmu, gdy powstała specjalna potrzeba zabiegania o względy szerokich kół opinii publicznej. Była to epoka rozkwitu kapitalizmu, epoka szczytowej pozycji środowisk burżuazyjnych. Dzienniki służyły głównie interesom mocodawców kapitalistycznych, schlebiali przede wszystkim gustom wielkiego i drobnego mieszczaństwa. Środowiska robotnicze i chłopskie z trudem wywalczyły sobie prawa do posiadania własnej prasy, służącej rzetelnie ich potrzebom. Dzienniki więc wykształciły się w ciągu półwiecza jako specyficzne organy redagowane przez burżuazję i głównie dla burżuazji. W zależności od adresata nabierały one charakteru typowo „inteligentkiego”, elitarnego w złym tego słowa znaczeniu, lub też, w poszukiwaniu odbiorcy masowego, uderzały w najniższe instynkty czytelnika, wabiły go sensacyjnością, pornografią i tanim sentymentalizmem.

Wywalczając sobie miejsce na rynku prasowym, pierwsze dzienniki katolickie nie potrafiły się wybić ponad tę specyficzną atmosferę. Nastawione raczej na odbiorcę populistycznego, przyjmowały nieraz nieświadomie formy, które należałyby nazwać „sensacyjno-dewocyjnymi”. Do dziś dnia codzienna prasa katolicka nie jest wysoko notowana, nie może sobie wywalczyć opinii dziennikarstwa pierwszej klasy.

Nie ma co nadmiernie tym się przejmować. Specyficzne warunki egzystencji pracy w świecie kapitalistycznym niemalże z góry przesądzały nieprzewycięzalne trudności, jakie musiały napotykać codzienna prasa katolicka. Z drugiej zaś strony nie ulega już dziś żadnej wątpliwości, iż dziennikarstwu katolickiemu brakło nieraz dostatecznego wychucia rzeczywistości, w której przyszło mu działać i celów, jakie sobie miało postawić. Nieraz utożsamiano zadania dziennika z zadaniami parafialnego biuletynu, oddziaływającego zaledwie w skali ogólnokrajowej. Zaciążyło to fatalnie na powadze niejednego dziennika katolickiego.

W niełatwych więc warunkach startowało przed pięć laty „Słowo Powszechne”. Było ono wprawdzie wyzwoleńcem spod uwarunkowań prasy kapitalistycznej, musiało jednak wytworzyć nowy, własny styl, w warunkach wyjątkowo odpowiedzialnych. Ślady tych borykań niewątpliwie możemy zaobserwować w ciągu tego pięćlecia, stwierdzając przechylenie się raz w kierunku zakrycia, raz znowu w kierunku nadmiernej inteligentności. Nie piszemy tego zresztą z żalem. „Słowo Powszechne” przez cały ten okres odważnie walczyło ze swymi słabościami. Byłoby jednakowo niesprawiedliwie idealizować osiągnięcia pięćlecia, jak i nie przyznawać zasług redakcji, która, świadoma swej odpowiedzialności, konsekwentnie budowała nowy, własny styl dziennika katolickiego, lecz jednocześnie społecznie

postępowego, wyłamującego się zdecydowanie z atmosfery getta, tak charakterystycznej dla wielu katolickich inicjatyw prasowych.

*

D NIA 22 marca 1947 roku, w artykule wstępnym „Słowa Powszechnego” znajdujemy te słowa:

„Start „Słowa Powszechnego” odbywa się w specjalnych warunkach. Nieuregulowane bowiem do tej pory stosunki między Kościołem Katolickim a Państwem Polskim nie ułatwiają pracy. Konflikty moralne, powstające w tej sytuacji w sumieniu katolika i ohywatela, ciężać muszą na każdej eksponowanej katolickiej i polskiej placówce pracy społecznej”.

„Świadomy patriotyzm wymaga od nas, byśmy, nie rezygnując z czynnej postawy chrześcijańskiej w życiu publicznym, potrafili spory światopoglądowe godzić z codzienną współpracą dla narodu...”

„Musimy własną pracą stworzyć warunki życia publicznego w Polsce, w których byłoby możliwe z jednej strony prowadzenie walki o realizację pełni ideałów chrześcijańskich, a z drugiej aby było jednocześnie możliwe wspólne budowanie zrębów państwowości przez wszystkich Polaków, niezależnie od dzielących ich różnic światopoglądowych”.

Tym centralnym zadaniem, wytyczonym jasno od pierwszego numeru, „Słowo Powszechne” było wierne przez pięć lat wyteżonej pracy. Trzeba też stwierdzić, iż obok naszego tygodnika, na nie własnie spadł na odcinku prasy katolickiej główny ciężar walki o porozumienie, tak od strony stwarzania korzystnych warunków dla jego realizacji, jak i od strony odsłaniania przed szerokimi rzeszami katolików rozległych horyzontów, jakie ten akt otwierał.

„Jeśli ziarno pszeniczne nie obumrze, nie przyniesie plonu”.
(Jan 12, 24).

T AKĄ słodką boleścią i radosną goryczą wypełniona jest liturgia okresu Meki Pańskiej. Jak w soczewce skupia się cała tajemnica Meki w słowach „Wykonało się”. Słowa niewyczerpane w swej treści, słowa niezgłębione. Kryje się w nich cały sens ludzkiego życia i na ziemi, i w wieczności. Jest w nich najistotniejszy skrót historii całej ludzkości, nie tylko tej, co uwierzyła, ale i tej, której nie ogarnęły jasności Objawienia.

„Wykonało się!” — To nie tylko żęst płomień życia Skazańca, u którego przeżarty sceptyccyzmem sędzia nie znalazł winy, ale i początek triumfu Tego, co jest Panem Żywota, a przyjął na się postać niewolnika. „Unizył samego siebie, stawisz się posłusznym aż do śmierci, i to śmierci krzyżowej. Przewoź i Bóg Go wywyższył, i dał Mu imię, co jest nad wszelkie imię” (Fil. 2, 7-9). Uniznienie i triumf, śmierć i żywot, ziarno, co obumiera po to, by mogło wydać plon. A plon przeobfity.

Oto wymowa okresu Meki Pańskiej. Kościół stał wobec niej oszołomiony. Zapłata się w jej treści. Jakby mu przeskądzały najcenniejsze emblematy, zasłania krzyż, który jest Kościołowi za św. Pawłem najwyższą mądrością i szkołą. „Hoc sentite!” — „przeżywajcie Mękę” powtarza za lekcją z niedzieli Palmowej i przeżywa ją w liturgii ostatnich dwu tygodni Postu. Idzie za Jezusem krok w krok, dzień no dniu, notuje skrzętnie wszystkie słowa, wypowiedziane przez Jezusa w ostatnich dniach przed śmiercią.

Wszystkie teksty okresu Meki Pańskiej tyczą się wyłącznie osoby Zbawiciela. Liturgia daje unust swoim uczuciom tylko w bardzo umiarkowanym stopniu, ale ten suchy styl kronikarski ma wstrząsającą i do głębi wzruszającą wymowę.

Charakter subiektywny posiada tylko przeniknąca prefacja oraz hymn brewiarzowy.

Prefacja snuje analogie między drzewem raińskim a drzewem krzyżowym. Tamto kwitnące — to suche.

Dlatego też w dniu 22 marca 1952 roku mógł na łamach „Słowa Powszechnego” pisać książd prałat — dr Zygmunt Kozubski:

„Wychodząc ze słusznego założenia, że Kościół nie jest związany z żadną formą ustrojową i w każdej epoce wypełnia swoją misję i że mimo zasadniczych różnic światopoglądowych istnieją pewne dziedziny, w których współpraca katolików z marksistami jest nie tylko możliwa, a nawet wskazana, założone przed pięć laty przez świeckich katolików „Słowo Powszechne” chce zrealizować program, który można streścić w następujący sposób: stać na straży zasad wiary i moralności katolickiej, a równocześnie uznawać pozytywne wartości nowego ustroju i popierać je tak w dziedzinie społecznej, jak i gospodarczej”.

„Słowo Powszechne” zaczerpnęło z programu ideowego „Dziś i Jutra” swe zasadnicze wytyczne, dowodząc najdobitniej, wbrew tym złym, przedwojennym tradycjom, o których pisaliśmy na wstępie, że dziennik nie musi zerować na naiwności, na ciemności ludzkiej, że nie musi podawać swym czytelnikom jakowej strawy płytkich i sentymentalnych banałów.

„Pragniemy, stwierdza redakcja, przyczynić się do tego, aby wiara nasza przyjmowana była nie na sposób fideistyczny, na wzór zabobonu, lecz z pełnym zaangażowaniem rozumu w przyjęcie i poddanie się jej prawdom. Pragniemy wskazywać na konsekwencje etyczne zarówno osobiste jak i społeczne założeń naszej wiary i słowem pisany, którego celem jest pobudzenie świadomości człowieka, stawać się pomocnymi na drodze życia tych wszystkich, którzy do poruszanej na łamach naszego pisma problematyki sięgają.

„Naszą ambicją będzie i nadal wykształcanie wśród naszych odbiorców postawy społecznie postępowej. Walka z konserwatyzmem społecznym, rozumienie historycznej roli klas do-

tych upośledzonych, odczuwanie wartości socjalistycznej przebudowy społeczno-gospodarczej — oto najważniejsze elementy kształtowania społecznie postępowej postawy katolików, umożliwiającej coraz bardziej świadome uczestnictwo w trudzie formowania się nowej epoki”.

*

S TOSUJĄC tak ambitny program łączenia pracy informacyjno-dziennikarskiej z pracą pogłębiającą światopogląd i ideologię współczesnego katolika — „Słowo Powszechne” oparło się na najszerszym wachlarzu współpracowników tak świeckich jak i duchownych. Na łamach tego dziennika spotkamy więc pióra tak wybitne, jak Dziekana Wydziału Teologicznego i przewodniczącego Komisji Intelktualistów i Działaczy Katolickich przy PKOP — ks. dr Jana Czujka, jak profesorów — ks. Dąbrowskiego, ks. Żywczyńskiego, ks. Kozubskiego, ks. Hueta, ks. Chojnackiego, ks. Seweryna Kowalskiego i wielu jeszcze innych współpracowników duchownych z terenu całej Polski. Czytelnik spotka również wszystkie znane mu nazwiska publicystów świeckich. Bez przesady, po pięciu latach owocnej pracy tego pióra, można dziś stwierdzić, że skoncentrowało ono wszystko, co wśród pisarzy katolickich jest twórcze, żywotne i postępowo myśjące. Ilość życzeń, nadesłanych do redakcji w dniu pięćlecia, świadczy dobitnie o szerokim oddźwięku, jaki praca tych publicystów wzbudziła w najszerszych kręgach katolickich w Polsce.

Swymi numerami specjalnymi redakcja „Słowa Powszechnego” sygnalizowała najistotniejsze problemy naszej rzeczywistości: numer o martyrologii duchowieństwa polskiego w

czasie hitlerowskiej okupacji, numer niemiecki, numer poświęcony problematyce ruchu biblijnego, numer o zjeździe lubelskim, o zjeździe wrocławskim — oto dowody dużej ruchliwości i szerokiego zasięgu zainteresowań redakcji.

Przed „Słowem Powszechnym” stoją w chwili obecnej bardzo poważne zadania. Akt Porozumienia między Kościołem a Państwem otworzył nowy, ważki okres w dziejach katolicyzmu w Polsce. Świadomi odpowiedzialności, jaką na siebie wzięli, katolicy polscy będą nadal konsekwentnie budować w Polsce Ludowej elementy współzycia i współpracy ludzi o różnych światopoglądach. Wymaga to jednak codziennego reagowania na wszelkie trudności, na jakie się ta współpraca może natknąć. Temu zadaniu winno służyć to pismo codzienne. Trzeba jednocześnie, wobec zwiększających się obowiązków, pogłębić świadomość religijną, narodową i postępową społecznie wśród szerokich rzesz czytelników. Jesteśmy głęboko przekonani, że „Słowo Powszechne” znajdzie się w każdym wypadku na wysokości zadania, jakie przed nim staną.

Życzymy bratniej redakcji „Słowa Powszechnego” dalszych sukcesów na trudnej, pionierskiej drodze budowania nowych tradycji katolickiego dziennikarstwa. Życzymy mu konsekwentnego pokonywania własnych niedociągnięć czy usterek, pogłębiania swego wpływu ideowego, życzymy mu wreszcie zdobywania coraz to nowych, młodych i starszych współpracowników dla sprawy katolickiej i postępowej myśli społecznej.

W. Żeg.

Ziarno zbawienia

Tamto przyniosło śmierć — z tego wytrysnęło życie. Na tamtym zwyciężył szatan, skusiwszy człowieka, na tym szatan został zwyciężony, aby człowiek mógł złączyć się z Bogiem.

Hymny na Jutrznie i Laudesy, pióra Wenancjusza Fortunata, rozwijają tę samą myśl, co prefacja. Ich autor głosi triumf krzyża, na którym Zbawiciel „nie orężem, lecz śmiercią śmierć przewycięża”. Szatan, co widział swój triumf pod drzewem raińskim, został skruszony i nogębiony pod drzewem krzyża. Tamto drzewo wydało iad trujący, z tego wyłynęło lekarstwo. Krzyż nie jest już szubienicą, co hańbi, ale prorocem królewskim, znakiem majestatu, władzy, zwycięstwa. Już w raju został wybrany po to, by wskrzesić życie, stłumić pod kwitnącym drzewem raju. W zióbku oglądał go Zbawiciel okiem swojego Bóstwa, na nim został podwieszony, aby przysparzać świat przebitymi rękoma.

Tu hymn wybucha słowami uwielbienia, co w niezrównany sposób oddaje tłumacz w starej polszczyźnie, łącząc majestat wyrażenia z rzewną prostotą.

*Krzyżu, święty nade wszystko,
Drzewo przetranszarniejsze,
W żadnym lesie takie nie jest,
Jedno na którym sam Bóg jest.
Stodkie drzewo, stodkie
awoździe,
Rozkoszny owoc nosiło.
Skoń gałązki, drzewo
święte,
Ulżyj członkom tak
rozpiętnym,
Odmień teraz ona sprośść.
Któraś miało z przyrodzenia.
Smęć lekkochno i ci-huchno
Ciało Króla niebieskiego.*

W owie cała liturgia tego okresu, jakby oszołomiona wielkością ofiary Zbawicielowej i dynamizmem błyskawicznie rozwijającej się akcji, nie może uchwycić jednego tonu. Przerzuca się od bólu do radości, od przynębienia do trium-

fu. Chrystus pokazuje się to w glorii, to w poniżeniu.

Oto odsłania bez nieświadomości swoje Bóstwo. Na uczie jest uwielbiony przez Marię drogocennym olejkiem. Wskrzesa Łazarza. Siemacie zamiast Go porwać, wracając oczarowani Jego majestatem i głoszą, że jeszcze nikt tak nie mówił. Bóg-Ojciec przez grzmoty uwielbia Syna. W arcykapłańskiej modlitwie odsłania Jezus swoje królewskie atrybuty. Na krzyżu odbiera hołd od skruszonego łotra. Po przebitciu Serca zdobywa serce i dusze setnika, co od krzyża odchodzi z wyznaniem wiary.

Ale równocześnie widzimy Jezusa w poniżeniu i hańbie. Traktus z niedzieli Palmowej wkłada w Jego usta proroczy hymn Dawida, co na tysiąc lat wcześniej kreślił z nrzejmującym realizmem postać Zbawiciela. „A jam jest robak, a nie człowiek, nośmiewisko ludzi i wzgarda nospółstwa. Wszyscy, co mnie widza, nasławiają się ze mnie, urągają i potrzasają głową: Nadzieje mój w Panu, niechaj Go teraz wyrwie”.

Niewdzięczność ludzka, świadomość opuszczenia, widok nienawisści tłumów, nie wiadomo dlaczego krzyżujących „Ukrzują!” — zła wola i przewrotność tych, co mają stać na straży sprawiedliwości, wyrwają z ust Jezusowych wzruszające „impropria”. Znieważony Mesjasz zwraca się do Żydów, ale i do nas wszystkich, co jesteśmy przyczyną Jego cierpień i hańby.

„Ludu mój, ludu! Cóżem ci uczynił? Lubi w czym zasnuć ciem ciębie? Odpowiedz mi!
Czyż dlatego zrotowałeś krzyż Zbawcy twemu, że cie wyprowadził z ziemi egipskiej?
Cóż miałem uczynić dla ciebie, a nie uczyniłem?
Zasadziłem cie jako nainieknniejszą z winnie, a ty stałeś się gorzki ponad wszelką miarę.
Ociem nołes moje nrazenie, włóznia przeszyles bok Zbawcy twego!”

Nabożeństwa Wielkiego Tygodnia starają się na wzór dramatu kla-

szynego oddać wielkie wydarzenia ostatnich dni Zbawiciela przed mek.

Niedziela Kwietna jest odtworzeniem triumfalnego wjazdu Chrystusa Pana do Jerozolimy. Uroczysta procesja ma charakter radosny, jest cała rozpięwana okrzykami: „Hosanna Synowi Dawidowemu”. Msza św. zawiera opis Meki i rozkłada tekst jak w dramacie między solistów i chóry.

Jeszcze więcej charakteru tragedii greckiej posiada „Ciemna Jutrznia” ze środy, czwartku i piątku. Przepiękne responsoria, przenikające lamentacje Jeremiasza, nastrojowe chóry i partie solowe, kolejne gaszenie świec na triangle, wynoszenie jednej z nich za ołtarz, łomot w stallach, powrót świecy — wszystko to symbolizuje i oddtwarza przeżycia Jezusa i Jego losy.

Jedyna msza św., jaka się odprawia w Wielki Czwartek, jest pamiatką radosnego ustanowienia Chleba Żywota w wieczerniku. Ale nie ma czasu na roznamietywanie tej cudownej tajemnicy, bo głuchy łomot kołatek i dalsza liturgia przypomina zdradę Judasza, rozproszenie uczniów, uwięzienie Jezusa.

Na szczyty niękną wznosi się liturgia w dzień Wielkiego Piątku. Po „pasji” św. Jana celebraz wezwawszy uroczystie do wspólnych modłów, zanosi modlitwy za całą ludzkość, jak za całą ludzkość przelał Jezus Krew Swoją. Modlitwy te ogarniają całe drzewiństwo i wszystkich wiernych, podróżnych, więźniów i chorych — nozan, schizmatyków, heretyków i Żydów.

Adoracja krzyża i uroczysta z nim procesja jest równocześnie hołdem dla Ukrzyżowanego oraz obrazem pogrzebu. Wreszcie t. zw. Msza św. darów unrdnie poświęconych, a właściwie komunią kapłańska, jest symbolem złożenia Jezusa do grobu.

Ale grób to niezwykle. Różny od wszelkich innych grobów. Wykwita z niego nowe życie. Obumiera ziarno, aby mogło wydać plon przeobfity.

Kiełkuje w nim ziarno zbawienia.

CZYTAJCIE

„SŁOWO POWSZECHNE”

PISMO CODZIENNE

Rudolf BUCHAŁA

Prawo własności w projekcie Konstytucji

I.

KAPITALISTYCZNY A SOCJALISTYCZNY SYSTEM WŁASNOŚCIOWY

PRZYJMUJEMY tezę, że z punktu widzenia przedmiotowego kryterium podziału możemy rozróżnić własności środków produkcji i własności środków konsumpcji, z punktu widzenia podmiotowego zaś własność społeczną i własność indywidualną.

Przy kryterium przedmiotowym chodzi o to, czy mamy do czynienia ze środkami służącymi do wytwarzania innych środków, czy też przeznaczonych wprost do spożycia. Przy kryterium podmiotowym chodzi o to czy właścicielem jest jednostka czy też grupa ludzi. Trzeba tu jednak zastrzec, że „indywidualny” nie jest w tym wypadku równoznaczny z „jednostkowy”, bo np. dwóch czy więcej współwłaścicieli jakiejś maszyny może być podmiotem własności indywidualnej a nie społecznej. Przykładem jest każda spółka prawa handlowego. Momentem decydującym jest tu 1-o: element materialno-

prawny a mianowicie — czy dochód służy tylko określonym jednostkom czy też całemu społeczeństwu (możemy go też nazwać elementem ekonomicznym) i 2-o element formalno-prawny a mianowicie — jakim przepisom prawnym podlega dany rodzaj własności, tzn. czy przepisom o własności indywidualnej, czy społecznej.

Jako drugą przyjmujemy tezę, że punktem centralnym w każdym systemie własnościowym jest problem własności środków produkcji. Zasadniczą różnicę między systemem własnościowym kapitalizmu a socjalizmu stanowi to, że w kapitalizmie zasadą jest nie o g r a n i c z o n a indywidualna własność środków produkcji nazwana własnością prywatną, którą to nazwą obejmuje się również środki konsumpcji. Prywatna własność środków produkcji łączy się w kapitalizmie z reguły z wyższym człowiekiem przez człowieka, słabszego przez silniejszego ekonomicznie. W socjalizmie zasadą jest społeczna własność środków produkcji nazywana też własnością socjalistyczną sensu stricto i rozpadająca się na własność państwową i własność spółdzielczą. Różnica między nimi tkwi w kryte-

rium podmiotowym: podmiotem pierwszej jest całe społeczeństwo, podmiotem drugiej pewne grupy obywateli, np. członkowie jednej spółdzielni.

W kapitalizmie własnością społeczną jest właściwie tylko własność spółdzielcza, zwłaszcza spółdzielczości pracy. Własność państwowa jest tu bowiem tylko na usługach wielkiego kapitału, o czym świadczy m. in. fakt, że państwo przejmuje tylko te dziedziny gospodarki, gdzie są minimalne widoki zysków albo wręcz strat, zdobywając fundusze na ich pokrycie z podatków (odeczuwanych dotkliwie tylko przez niższe warstwy społeczeństwa).

W socjalizmie własność indywidualna może obejmować również środki produkcji, np. należące do chłopów, rzemieślników i chałupników — por. art. 12 projektu Konstytucji, a nawet może ona nosić nazwę własności prywatnej z dwoma zastrzeżeniami: 1-o: musi być oparta na osobistej pracy właściciela, 2-o: musi być pozbawiona elementu wyższego człowieka przez człowieka. Tak ujmując rzecz art. 9 Konstytucji ZSRR gdy mówi: „Obok socjalistycznego systemu gospodarczego... dopuszczone jest przez prawo drobne prywatne

gospodarstwo indywidualnych chałupników, oparte na pracy osobistej i wyłączające wyzysk cudzej pracy”. Pojęcie „własność indywidualna” w Projekcie jest szersze od pojęcia „własność prywatna” w Konstytucji Radzieckiej, gdyż obejmuje również środki konsumpcji, mając na ten wypadek, indentycznie jak Konstytucja ZSRR, określenie „własność osobista” — natomiast własność prywatna w Ustawie Zasadniczej Związku Radzieckiego obejmuje tylko środki produkcji (oczywiście z omówionymi wyżej zastrzeżeniami.)

DALSZĄ różnicą między systemem własnościowym kapitalizmu a socjalizmu jest to, że w kapitalizmie do każdego rodzaju własności odnoszą się te same przepisy traktujące wszystkie rodzaje własności w jednakowy sposób, co w rzeczywistości wychodzi na korzyść wielkich potentatów jako najsilniejszych ekonomicznie, zwłaszcza gdy pojawiają się przepisy o nienaruszalności własności prywatnej. Proletariat, jak wiadomo, w warunkach kapitalizmu tak samo jak kapitaliści nie musi się obawiać naruszenia własności prywatnej — kapitalistów chroni ustawa — proletariatu własności prywatnej nie posiada.

To jednakowe traktowanie wszystkich rodzajów własności wynika m.in. z tego, że za własność uważa się właściwie tylko własność prywatną, która w dodatku określona jest negatywnie, tzn. wszystko co nie jest spod jej zakresu wyjęte może być jej przedmiotem.

W socjalizmie natomiast zasadą jest zróżnicowane traktowanie różnych form własności, co wiąże się niewątpliwie z tendencją do pozytywnego określenia własności przez wyliczanie, co jest lub może być jej przedmiotem i jakie są jej uprawnienia i obowiązki. Jest to niewątpliwie odcięcie zasady planowości w tej dziedzinie.

Istnieją np. odrębne przepisy dla obrotu między przedsiębiorstwami państwowymi a odrębne dla obrotu między poszczególnymi obywatelami. Równocześnie jednak respektowana i chroniona jest własność indywidualna we właściwym jej, dlatego realnym, zakresie, ze specjalną ochroną, gdy odnosi się do środków konsumpcji, tj. gdy przybiera formę własności osobistej.

Własność osobista jest bowiem wskaźnikiem wzrostu dobrobytu poszczególnych jednostek społeczeństwa socjalistycznego. Ponieważ wzrost ten jest naczelnym założeniem programowym socjalizmu, przeto musi wzrastać własność osobista. Omówione różnice systemów własnościowych kapitalizmu i socjalizmu zaznaczają się już przez samo terminologiczne rozróżnienie różnych form własności w systemie socjalistycznym, o czym niżej.

Dotychczas ujmowaliśmy różnicę między tymi dwoma systemami własnościowymi od strony środków produkcji. Teraz krótko przypatrzmy się od strony środków konsumpcji.

W socjalizmie środki konsumpcji, gdy stają się przedmiotem własności indywidualnej, określane są jako jej przedmiot mianem własności osobistej i doznają specjalnej ochrony, jak o tym wspominaliśmy. Co może być przedmiotem własności osobistej, podamy przy rozpatrywaniu socjalistycznego systemu własnościowego w szczególności.

W kapitalizmie brak podobnego wyodrębnienia a regulacja doko-

nuje się na podstawie ogólnych przepisów o własności prywatnej, co w konsekwencji znów wychodzi na korzyść silniejszego ekonomicznie.

II.

SOCJALISTYCZNY SYSTEM WŁASNOŚCIOWY NA TLE PROJEKTU KONSTYTUCJI.

PRZY omawianiu form własności w ustroju socjalistycznym kryterium różniczenia stanowi przede wszystkim kryterium podmiotowe. W socjalizmie różnicza się mianowicie dwie podstawowe formy własności: społeczną i osobistą. Pierwsza odnosi się w zasadzie do środków produkcji, druga wyłącznie do środków konsumpcji. Pierwsza rozpada się na własność państwową i spółdzielczą. Na czym polega różnica już określiliśmy. Własność osobista jest pochodną od własności społecznej i stanowi wynagrodzenie obywatela za jego pracę na rzecz społeczeństwa socjalistycznego. Wynagrodzenie to otrzymuje on w pieniądzu, za które nabywa przedmioty mogące stanowić przedmiot własności osobistej. Projekt Konstytucji nie określa, co może być przedmiotem własności osobistej. Możemy to jednak ustalić wnioskując z analogii z art. 10 Konstytucji radzieckiej, który wylicza — przykładowo —: „Prawo osobistej własności obywateli do pochodzących z ich pracy dochodów, do domu mieszkalnego i pomocniczego gospodarstwa domowego, do przedmiotów osobistego użytku i wygody, jak również prawo dziedziczenia osobistej własności obywateli...”

Nie wystarczy jednak ograniczyć się do samej Konstytucji, lecz należy również uwzględnić przepisy niższe hierarchicznie od Ustawy Zasadniczej a więc ustawy, dekrety i rozporządzenia. Tak np. dekret Prezydium Rady Najwyższej ZSRR z 26.8.1948 r. przewiduje, że dom mieszkalny parterowy względnie jednopiętrowy z ilością pokoi od jednego do pięciu może być przedmiotem prawa własności osobistej. Tak samo działka przyzagrodowa członka kołchozu zaliczana jest do własności osobistej, z pewną przez przepisy prawne ustaloną ilością rogacizny itd. Nie będzie ryzykowne stwierdzenie, że zakres własności osobistej będzie różnił się ilościowo i jakościowo wyliczając jedynie środki produkcji.

W ustroju socjalistycznym istnieje nadto, zwłaszcza w jego fazie początkowej, również indywidualna własność środków produkcji, obok społecznej, ograniczana podmiotowo do chłopów, rzemieślników i chałupników. (Por. art. 12 Projektu). Jest to właściwie przeżytek minionej formacji kapitalistycznej, jego uprawnienie w ramach ustroju socjalistycznego uzasadnione jednak jest dwoma względami, a mianowicie 1-o: elementy minionej formacji trwają w nowej przez pewien czas, ich wyeliminowanie musi się dokonać ewolucyjnie; praktycznie oznacza to, że przechodzenie wymienionych w art. 12 Projektu grup — chłopów, rzemieślników i chałupników — na tory gospodarki zespołowej, spółdzielczej, musi się opierać o zasadę dobrowolności, co podkreśla art. 10, p. 2 Projektu, który odnosi się tylko do spółdzielczości wiejskiej, niewątpliwie da się jednak przez analogię odnieść również do spółdzielczości pracy rzemieślników i chałupników; 2-o: mimo iż indywidualna własność środków

(Dokończenie na str. 9)

I n s u r e k c j a

„Dzień 24 marca pamiętny nie tylko dla Krakowa, lecz i dla całej Polski... Włmć Pan Tadeusz Kościuszko... przybywszy nocą tu do Krakowa stanął u W-go Imć Pana generała Wodzickiego w tegoż patacu... wcześniej z rana. O. Gwardian otrzymałszy zawiadomienie, otworzył kazał drzwi kościoła i u furty ogrodowej oczekiwał przybycia W Pana Kościuszki, za którego przybyciem wprowadził tak tegoż W Pana Kościuszkę, jak W Pana generała Wodzickiego z innymi i towarzyszącymi do kaplicy Loretańskiej. Następnie, odprawivszy mszę św., pobłogosławił złożone na stopniach ołtarza szable, które ciż obecni do rąk wzięwszy i w górę wzniosłszy, naprzód W-ny Imć Pan Kościuszko a za nim wszyscy obecni towarzysze wojskowi uroczyście i z wzniosłym sercem uczuciem wyrzekli przysięgę poświęcenia życia za Wiarę i Ojczyznę... Poczem Wielebny Ojciec Gwardian dał im krzyż św. do pocalowania i wodą święconą ich pokropił a brat Antoni odprowadził ich do furty ogrodowej”.

Wypis z kroniki konwentu OO. Kapucynów w Krakowie.

„...aż do dnia 24 Marca 1794. W który dzień gdym jeszcze w łóżku spoczywał, a służąca mi rano wróciwszy z rynku doniosła, że batalion generała Czapskiego garnizonowy nikogo z ludzi z miasta nie wypuszcza tylko do miasta, uprawiło mnie to w podziwienie i zastanowienie, że ja, prezydent, nie wiem o niczym...”

Wkrótce przychodzi do mnie Imć Pan Biegański, adiutant IMPana generała Wodzickiego z żądaniem takowym: IMPan Wodzicki, generał, żąda po W Panie, iżbyś zwołał natychmiast urzędników miejskich i lud wszystkie, aby się zgromadził zaraz przed ratusz najdalej za godzinę; bo tam mu będzie oświadczona wola narodu i będzie mu prezentowany IMPan generał Tadeusz Kościuszko, naczelnik narodu...

Gdyśmy do rogu Szewskiej ulicy doszli, zastaliśmy w paradzie stojące batalion Wodzickiego i Czapskiego generałów, przed których frontem zatrzymał się IM Pan Kościuszko i od nich przysięgę odbierał, jak to wiernie odmalował nasz Pan Sta-

chowicz... Młodzież postrojona w bandolety z różnymi napisami i sylwetkami, np. Onufry Działycki prezentował się w bandoletcie z napisem «Wolność lub śmierć»; drugi z napisami: «Równość, Wolność»; trzeci: «Jedność i Niepodległość»; czwarcy: «Wiwat Kościuszkę»; piąci: «Za Prawa i Wolność»; szóści: «Za Kraków i Ojczyznę»; siódmi: z sylwetkami Kościuszki; ósmi i dzieści z różnymi zdań napisami najeżeni, jak gdyby bić się z kimś o coś gotowi, przechodzili się; ...Oj, będzie to tu inaczej! wykrzykiwali, a inni, że Kościuszko z nami radowali się. Zgola powrócivszy na ratusz lud, a osobliwie młodzież właśnie jak nie krakowską, ale paryską, francuską zastałem, wiele od nich cierpiełem i na przywoite mi miejsce prezydenckie docisnąć się nie mogłem.

Wtem, odebrałszy przysięgę od batalionów Imć Pan Kościuszko na rynku, przyszedł z Imć Panem Wodzickim na ratusz i z wielu jego oficerami, tudzież tłokiem ludzi. Przyszedłszy zaczął, jak pamiętam, mówić: «Mości panowie, w obronie Ojczyzny równość u mnie popłaca, i dlatego tak żyd, chłop, szlachcic, ksiądz i mieszczanin, równego u mnie są szacunku, który od wielu wezwany i zaproszony od różnych obywateli i magnatów listami w dzisiejszym dziele mam czynić usługę W Panom. Nie będę ja tu wzywał nikogo do przysięgi, bo ten interes głównie jest tak moim jak W Panów interesem wspólnym; ale niech akt insurekcji naszego narodu przeczyta Imć Pan szambelan Linowski». Jakoż głośno go czytał... Po przeczytaniu takowego wielki się stał z radości loskot i różne wołania. Pryncypalnie żądał Imć Pan Zukowski patron miejski krakowski, iżby portret Stanisława Augusta, króla polskiego, z izby magistratu, w której ten akt był czytany, został wyrzucony. Wspierało go wielu w tym żądaniu, jako to Pan Taszycki. Tenże sam Imć Pan Zukowski, patron mocno żądał i nalegał, iżby akt tej insurekcji był od przytomnych osób podpisywany. Jakoż ochoczych kilka osób, jako to: kasztelan Dębowski,

podpisywali on, a nawet i z magistratu, Imć Pan Działycki, Łaskiewicz, Kuczerowicz i inni, którzy bliżej stali stołu, pierwiej niż ja, lubo prezydent, podpisali...

...a wtem wyszedł JPan Tadeusz Kościuszko z pokoju, w którym z Imć Panem Linowskim był przyniknięty, a tam mu różni obywatele różne osoby na komisarzy porządkowych podług uwodobania swego dyktowali; i mówił: «Czyli już msza wyjdzie w kościele, czyli jest zamówiona, czyli też mam pójść na ratusz, lub do kościoła?» Drudzy odpowiadali trzeba iść na ratusz; jedni mówili pójdzmy do kościoła. I tak hurma zabrawszy się wszyscy poszliśmy do kościoła Panny Maryi, gdzie się przed wielkim ołtarzem odprawiła msza S. lecta, po której skończeniu, wszyscy razem i z JPanem Kościuszką poszliśmy na ratusz, gdzie Imć Pan Linowski przeczytał spisanych ułożonych i ustawionych komisarzy porządkowych...”

Filip Lichocki

„D. 1 kwietnia, Tadeusz Kościuszko, najwyższy naczelnik siły zbrojnej narodowej wyszedł z Krakowa przeciw nadchodzącym Moskalom.

D. 4 kwietnia. Pierwsza batalia z wielką chwałą naszych i zwyciężeniem, bo naczelnik z trzema batalionami piechoty, kilką szwadronami kawalerii i 3000 chłopów z kosami i pikami zbił Moskali...”

Tomasz Krzyżanowski.

„Naczelnik sam zdobytym patasem atakował artylerię z chłopami naszymi, których tylko 320 do tego ataku użył, reszta 1600 stała w odwodzie, i tak szczęśliwie, że po pierwszym armat wystrzale, straciwszy chłopów tylko 16 z krzykiem przebiegającym: Szymku, Maćku, a dalej odebrali armat 3 dwunastofuntowych, a potem razem z batalionem Wodzickiego uderzyli całą siłą i ścianą na Rosjan. batalij na bagnety, a chłopci na kosy, dosyć, że rów wielki długi, wzdłuż lasu tam będącego trupami napelnili. Dalej osiem armat odebrali, 5 cięższego, 3 lepszego kalibru”.

Jan Slaski

„...lud do sprawy publicznej przywiązać należy”.

Tadeusz Kościuszko

Stanisław TYRO

W O B E R A M M E R G A U

JEST w Bawarii, w tym na wskroś katolickim kraju, w niewielkiej odległości od Zugspitze, jednego z najwyższych wzniesień niemieckich Alp (2966 m. n. p. m.) bogata wioska, która zastępną w całym chrześcijańskim świecie. Położona w dolinie górnego biegu Ammer, rzece tej zawdzięcza swą nazwę — Oberammergau. Mieszkańcy jej urządzają od trzystu z górą lat słynne przedstawienia pasyjne.

Jak głosi tradycja przedstawienia te powstanie swoje zawdzięczają wydarzeniom, które miały miejsce w początkach XVII wieku:

„Złe nastały czasy około roku 1630. W niemieckim kraju trwała już kilka lat wojna. Wioski i zagrody opustoszały, pola leżały odłogiem, ludzie dziczełi. W Ammergau wiedziano o tym tylko z opowiadania. Ale wojna, głód, morowe powietrze i śmierć wypełzły z nizin i zaczęły zagrażać mieszkańcom gór. Gdy usłyszano, że wielki pomór szerzy się w okolicznych wioskach, mieszkańcy Ammergau zamknęli wszystkie ścieżki i drogi wiodące do wioski. Ale zaraza mimo to drogę swą znalazła.

Według ksiąg probostwa od uroczystości poświęcenia kościoła w r. 1632 do lipca 1633 ofiarą czarnej śmierci padło 84 mieszkańców. W tym nieszczęściu rada Oberammergau szukała ratunku u Tego, Który tym nieszczęściem kraj nawiedził i Który sam mógł je odwrócić. „Szczęściu“ i „dwunastu“ gminy, to jest rada Oberammergau, udała się do kościółka i tam przed ołtarzem złożyła uroczyste ślubowanie: dawać nieprzerwanie co 10 lat „pasyjną tragedię“. Jakoż natychmiast ustał straszliwy pomór i od tej chwili na zarazę nie umarł w wiosce ani jeden człowiek.“

Stosownie do uczynionego ślubowania już w roku następnym urządzono po raz pierwszy pasyjne przedstawienie.

Od tego czasu minęło już przeszło 300 lat.

Oberammergau jednak w tym długim okresie w niewzruszoną wiernością i sumiennosciami, mimo wielu trudności i przeszkód, spełniało co 10 lat swoje święte ślubowanie.

Jedynie w r. 1811 i 1922 przedstawienia nie odbyły się w ustalonym terminie.

Trzechsetlecie istnienia przedstawień pasyjnych uczciło Oberammergau w r. 1930 i 1934 jubileuszowymi uroczystościami*) i wznowieniem ślubowań na przyszłość. Uroczystości te zgromadziły ponad 400.000 widzów z wszystkich stron świata i wszystkich warstw społecznych: można było zobaczyć dostojników Kościoła, mężów stanu, uczonych, artystów, prostych ludzi, robotników, chłopów.

Dopiero wojna uniemożliwiła odbycie przewidzianych na rok 1940 uroczystości. Jednak po tej przerwie już w roku 1946 przedstawienia pasyjne zostały wznowione.

W ten sposób przez wieki spełniają mieszkańcy Oberammergau swą przysięgę i urządzają, mimo zdarzających się od czasu do czasu przeszkód, wzniosłe widowiska o męce Chrystusa.

Przedstawienia pasyjne odbywają się w wielkim teatrze pasyjnym, zbudowanym na skraju wioski. Teatr ten zwiedziłem podczas mego pobytu w Oberammergau 9 czerwca 1946 r. Na obszernej widowni ustawiono amfiteatralne 3.000 krzeseł. W szatni teatru z wielką pieczołowitością przechowywane są kostiumy używane przez aktorów podczas przedstawień. Aktorzy widowiska — to ludzie prości, rekrutujący się wyłącznie spo-

śród mieszkańców wioski. Ludzie ci swoje zadanie pojmują bardzo poważnie. Opowiadano mi, że nieraz mężczyźni przez cały rok pielęgnują swój zarost, aby jak najbardziej upodobnić się do występującej na scenie historycznej postaci. Podczas mego pobytu w Oberammergau dawano w małym teatrze, jako ćwiczenie przygotowawcze, 3-aktowe widowisko z życia Chrystusa, pod tytułem „Der Meister des Lebens“ (Mistrz Życia*).

Mahellą, by ją uzdrowić. Judasz chce uczynić cud, ufny w siłę, którą dał Mistrz swym Apostołom. Lecz bezsilnie opadają ręce zdrajcy i Mahella — umiera. Judasz, nie posiadając się ze złości i palając śmiertelną nienawiścią do Mistrza, chce wybiec z ogrodu. Nadchodzi Piłat, przygnębiony i dręczony głosem sumienia z powodu tchórzliwego skazania Chrystusa na śmierć. Za późno jednak na te wyrzuty, które czynią sobie wza-

czynił i świadczą wymownie przeciw oskarżycielom Chrystusa. Wtem Judasz występuje przed tłum. Pała w nim niepokonana rozpacz i ze strasznym, druzgocącym przekonaniem krzyczy: „Jezus jest oszukańcem, on wszystkich w Izraelu oszukał“. Nikt tak jak Judasz, nie wierzył w to, że Mistrz znowu odbuduje królestwo Izraela i nikt tak, jak on, nie żywił nadziei, że w tym królestwie będzie księciem judzkim. Przez dwa pełne lata szedł on za Mistrzem, bo kochał Marię Magdalenę; dwa pełne lata snił cudny sen, że Marię Magdalenę, jako jedyną ukochaną kobietę, wprowadzi do swego pałacu. Jeszcze raz zbiera Judasz swe siły, aby pozyskać Marię; przez chwilę chce Jezusa ratować, zaklina więc Piłata, by cofnął wyrok, lecz — niestety — już jest za późno, on bowiem sam go zdradził. Ale Piłat pyta się bojaźliwie Judasza: „Powiedz mi — kto On?“ — W tym momencie spotyka się Jezus, idący na Golgotę, z żalobnym konduktem Mahelli. Podniósłszy w górę ręce, błaga Baltazar Mistrza życia: „Jezusie — Jezusie, Dziecię Betlejemskie, powiedz jedno słowo, a Mahella zmartwychwstanie“. Niemy z bólu i pełen rozpacz, nie tracąc jednak nadziei, wskazuje stary ojciec swe martwe dziecko. Jezus wyciąga ręce ku marom, żegnając zmarłą i... Mahella — porusza się — ożyła. Błady, opiera się Piłat o Judasza, jakby bojąc się upaść i zapytuje śmiertelnie zasmuconego i zrozpaczonego Judasza z Iskariotu: „Kto to — kto to, ów człowiek?“ — „On jest Synem Boga żywego“.

Jak wynika z powyższego w przedstawieniach pasyjnych w Oberammergau poważną rolę odgrywa element apokryficzny. Mimo niewątpliwych uproszczeń i sztywnego tradycjonalizmu odgrywają one istotną rolę w życiu religijnym. W okresie Wielkiego Postu zasługują na przypomnienie.

Stanisław Tyro



Wykonawca roli Jezusa Chrystusa



Wykonawczynie roli Matki Boskiej



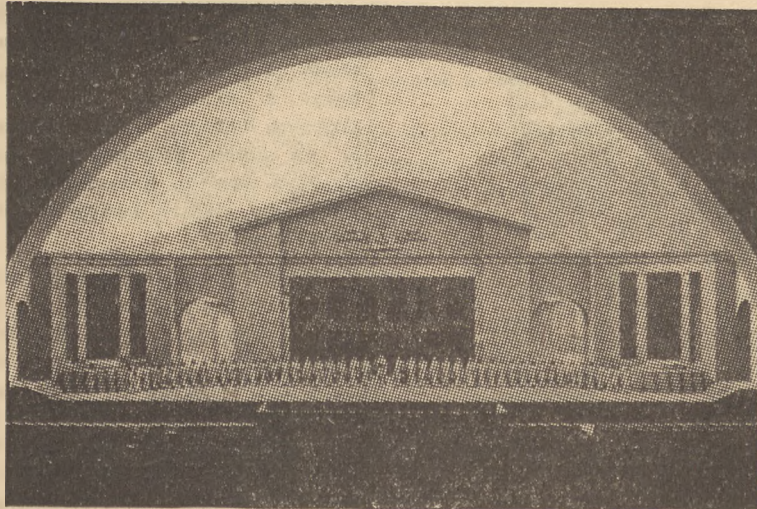
Wykonawca roli Św. Jana Apostoła



Wykonawca roli Kaifasza



Wykonawca Prologu



Scena w Oberammergau

Uważnie przeczytałem w prospekcie spis aktorów występujących w tym teatrze i znałem kilka nazwisk z jubileuszowego przedstawienia, tj. z lat 1932/34, np. Rutz, Mayr, Bierling, Zwink, chociaż o innych imionach. Widocznie zdolności artystyczne przeszły także na młodsze pokolenie.

A teraz dla orientacji podaję krótkie streszczenie sztuki: Akt I: Ogród wokół pałacu Piłata.

Opowiadają sobie ludzie w Judei, że jakiś prorok wędruje po kraju, który głosi nową naukę o boskiej miłości i miłosierdziu, a nawet, że uzdrowia chorych i wskrzesza umarłych. Mąż ten znajduje się już w pobliżu Jeruzalem i miasto gorączkowo oczekuje jego przybycia. Wieść o tym przedostała się także na dwór Piłata. Prokula, małżonka włodarza kraju, widziała we śnie tego proroka i przeczuła straszne i niesprawiedliwe zasądzenie Chrystusa przez rzymskiego namiestnika. Baltazar, jeden z królów, którzy u żłobu Dzieciątka w Betlejem kłęczeli, przybył ze swoją córką, Mahellą, do Jeruzolimy i bywa na dworze Piłata. Mahella jest chora. W gorączce ona także widzi nowego proroka, mistrza życia i jest przekonana, że tylko On może ją uzdrowić. Kocha się w trybunie Piłata, młodym rzymianinie, nazwiskiem Gajus Flavius. Gajus widział już mistrza Jezusa, był bowiem świadkiem wskrzeszenia Łazarza i o tym opowiada z zapałem Mahelli. Nauka Chrystusa jest mu wprawdzie cęga, ale on przeczuwa boską moc Mistrza. Judasz z Iskariotu przebiega z hałasem ulice miasta i głośno zapowiada zbliżanie się Proroka — Króla Judei. Lud raduje się i śpiewa. Piłat poznaje moc Tego, który jest silniejszy od jego bogów.

Akt 2.

W ogrodzie Baltazara leży na łóżku Mahella. Przeczuwa swa bliską śmierć i żegna się z ojcem. Do komnaty szybko wchodzi Gajus. Jak szalony biegnie ulicami miasta, głośno przywołując Mistrza życia. Cały swój majątek oddałby za życie Mahelli. Ale nie mógł Jezusa znaleźć. Poimano go bowiem i wleczono od sadu do sadu. Niespodziewanie zjawia się Judasz z Iskariotu: uśmiechał się do Gajusa i opanowała go chęć zdobycia majątku Rzymianina. W imieniu Mistrza wyciąga ręce nad

jemnie zdrajca i niesprawiedliwy sędzia, gdyż zbliża się już lud, który wyjąc przeraźliwie prowadzi Chrystusa na Golgotę. Krzyki te słyszy Gajus — teraz już wie, że nadchodzi Prorok. Przez chwilę waha się, lecz wkrótce ożywa w nim nadzieja — Jezus wskrzesi umarłą Mahellę. On bowiem jest życiem.

Akt 3.

Na obszernej placu w Jeruzolimie gromadzi się lud. Z ożywieniem rozmawiają ludzie o proroku, którego skazano na śmierć. Na przodzie stoi grupa zwolenników kapłanów, do nich przystępuje Magdalena i pyta o Mistrza. Drwinami i śmiechem odpowiadają Magdalenie, lecz ona wie, że nikt nie jest litościwszym od Niego. Nadchodzą chorzy, których On uzdrowił, i wszyscy, którym dobrze

Caudet nudatum pectus

Biała była jego naga pierś, skruawiona rana w boku, Błada była jego piękna twarz, rana duża, głęboka, Jego ręce rozciągnięte na drzewie Krzyża wysoko I z pięciu Jego płynęło ran świętej krwi pięć potoków.

(XIV w.).

Dziecię, które umarło dla was

Dziecię wesole i śmiałe miała nasza Panna, Które w Wielki Piątek zmarło dla nas. I umarło dziecię nieskalane Na krzyżu dla nas. Dobrze i wolne dziecię Boga Zmarło dla nas na Krzyżu drzewie srogim.

(XV w.).

Skarga Matki Bożej

Kiedy trzydziesty rok już Mojemu szedł Synowi, Wtedy to podły Judasz Zdradził go postanowił. Za srebra sztuk trzydzięści Sprzedał swojego Króla. Gdy usłyszałem wieść tą Serce zamarło z bólu.

I w dniu Wielkiego Czwartku (och, smutne to godziny). Szedł Judasz, aby na śmierć Wydać mego Syna. A za nim wszyscy Żydzi Szli niezliczonym tłumem, I on na ustach Syna Zły złożył pocatunek.

Zaprowadzony został Mój Syn przed Piłata. A uczeń Piotr się trzykroć Swojego Mistrza zaparł.

I Piłat rzekł do Żydów: „Z człowiekiem tym co czynić?“ A tłum mu odpowiedział: „Ukrzyżuj go! Jest winny“.

I Syn mój w Wielki Piątek Szedł na Kalwarii szczyt i Trzema gwoździami został Na krzyżu On przybity. Nie widział tu nikogo ze swych przyjaciół wszystkich tylko młodzieńki Jan stał tuż obok Niego blisko.

Nikt nie popatrzył na mnie, choć smutek, ból mnie gniebił, Bo rozległ się trzask promu I ziemia pękła w głębi. Spojrzałam na twarz Syna, Który na Krzyżu konał. Wtedy się zbliżył Longin I utłocznę ubił Mu w łono.

(XV w.).

Anonimowe wiersze angielskie z XIV i XV w. tłum. A. P.

* Fotografie zawarte w tym artykule, są zdjęciami z jubileuszowego przedstawienia z r. 1934.

* Sztukę napisał Georg Rose, muzyka G. Hild Orkiestra gminy Oberammergau, kostiumy z przedstawień pasyjnych (Przyp. autora).

Janina SIWKOWSKA

Zwyczaje wielkopostne w dawnej Polsce

„W niedzielę mięsopustną kto zasie nie oszaleje, na urząd jako ma być twarzy nie odmieni, maszkar, ubiorów, ku djabłu podobnych, sobie nie wymyśli, już jakby nie uczynił krześcijańskiej powinności dosyć” — szydził Mikołaj Rej z Nagłowic. Zaś Grzegorz z Zarnowca dorzuczał: „Większy zysk czynimy djabłu, trzy dni rozpustnie

słomianym, odzianym w kapotę straszakiem, który palono, lub wieszano.

Z innych zwyczajów wstępnośrodowych — ciekawym jest choćby następujący, opisany przez M. Kotowicza:

„...po miastach we wstępną środę, czeladź jakiego cechu, poubierawszy się w dziadów i

stu, z pomalowanymi twarzami, z rogami u głowy, odziani w skóry kozie, tak, że im tylko świeciły się zęby i oczy nakształt djabłów, ogromny pniak dębowy, długości sześciu, grubości czterech łokci, obwieszony żelaznymi łańcuchami, a na ten cel umyślnie przygotowany, przywlokłszy, protestującą... ubrawszy naprzód w powróta słomiane, nie uproszeni jej uprzejmymi prośbami, siłą i przemocą ją porwali przywiązawszy łańcuchem do pnia, i włożyli do ratusza z najwyższą obrazą i straszną boleścią, tak, że omalowała na siłach, biegnąca zaś bez żadnego względu porychając, do dźwigania ciężaru twardymi biczami zmusili”.

Z INNYCH wielkopostnych obrzędów zwyczajowych — to jeszcze „Gregoły”, albo inaczej „Gregorjanki”, obchodzone po wsiach, w niektórych stronach naszego kraju. 12 marca, w dzień Św. Grzegorza — działwa szkolna, odświętnie przyodziana, chodziła po drodze włoskowie, śpiewając pieśń o Św. Grzegorzu. Z obrzędem tym łączą się wesoła zabawa, urozmaicona nie rzadko tańcami i przeróżnymi żartami.

Jeszcze jeden dzień w Poście nastęczał wiele wesołości, z okazji zwożenia się nawzajem i opowiadania sobie zmyślonych bajd i komicznych historyjek. Był to

„Prima Aprilis, albo n-terwazy, dzień kwietnia, do rozmaitych żartów moda starnoletnia”.

Oczywiście — o ile pierwszy kwietnia wypadł w okresie Wielkiego Postu.

Miejskie zwyczaje wielkopostne — sły prawie że pod rękę z wiejskimi.

Skoro tylko we wtorek zapustny, o północy, — śledź wjechał na sam środek stołu — milkła muzyka i swawolne żarty. Ano Post — mawiano. Ano! koniec uciech i dogadzania brzuchowi. Ano Wola Boska. Niech ma przystęp i Pokuta: niech i to chude babsko użyje i szary karnawał pod godłem śledziowego ogona rozpocznie. A jako i my — tak i ta kumochka kostuchy — niech „zamiast tańczyć szota, zje sobie szota (śledzia) i napije się wody! smacznego apetytu!”.

Aleć przecie już bystry Rej z Nagłowic, w roku 1560-ym, w „Wizerunku żywota człowieka poczci-

szklannicami — tnie satyrą, niby biczyskiem:

„Co gotują węgorze, śledzie, szczuki w soli,
Wyzinę, losoś, karpie brzuchem na post gwoli,
Ci nie myślą potężnie z ciałem wstąpić w szranki”,
Ale kuflem dwuuchem chcą szlamować dzbanki”...

Wstrzemięźliwość też malała z biegiem wieków — a równiutko przed stu laty — popularnym stało się przysłowie —

„Wtenczas to u nas zowie się biesłada,
Gdy do niej duch obżarstwa i zbytku Bies spada”.

Ano! mea culpa... powtarzano sobie we wstępną środę; przy stole już jednak animusz w serca — a raczej by trzeba powiedzieć, w żołądki wstępował, skoro taką ulubioną deklamacją się zabawiano, nie śmiejąc przytym narazie samym tylko piwskiem, więc jeszcze i obwarzankiem piwnym się delektując.

„Kiedy panować zaczyna, Stokfiśz, śledź k i wyzina,
Gdy już należy żegnać się z zabawą,
A katrińnarz śpi pod ławą;
Wtenczas witaj nam Kochanku,
I ty, o droga Kochanku,
Witaj piwny obwarzanku,
W tej smacznej piwa szklanko.
Wiwat więc trunek przedziwny,
Wiwat obwarzanek piwny”.

Przecież nie każdy się weselił w popielcową środę. Kłoc, do którego

Albo panience od adoratorów:

„Porzuć fochy, i gniewy;
Nabądź w poście więcej skruchy,
Na ocet nie złapiesz muchy,
Ni starych wróbi na plewy”.

Albo taki dytyrambik:

„A żeś była taka harda,
I w karnawał mnie nie chciała,
Niech ci służy ta kokarda,
Bodaj cię kaczka zdeptała”.

Albo taki:

„Kasiu: tyś mnie nie chciała, ja
żenię się z Anną
Taką była twa wola... zostań starą
Panną.
Tego ci życzy
Sługa najniższy, Stolarczyk Patrycy”.

Ale i marcowym kawalerem — zwinne ręce niewieście — do rajtróków i paletotów takie oto wraz z kłocami karteluski przyspłalały. Więc modnemu dandyśowi:

„Nadto kochasz się w ubran'iu,
W swych włoskach i fryzurze.
Śiedźże teraz na wydaniu
W kawalerskiej swej posturze”!

Na grzbiecie swój zwolennika gryw faraona — tuz żołądny, na którego odwrócić:

„Kto się żeni z treflą, plikiem,
Musz zostać starym ćwikiem”.

A czasem znowu, na wytworknym paletocie z grodenaplu — ogon ze starego kapłona, a pod nutę znanego Krakowiaka — dwuwersz:



przywiązywano na wsi dziewczęta — w mieście do kłoca się skurczył ale nie mniej był dokuczliwym. Co tam! nawet i Kawalerów marcowych nie szczędził!

Jeszcze Kitowicz pisał, jak to żacy a studencikowie pod kościołem na panny czatowali — i pannom onym —

„...przypinali na plecach kuzrze nogi, skorupy od jajec, indrycze szyje, rury wołowe i inne tym podobne materklasy; tak zaś to sprawnie robili, że tego osoba dostająca nie czuła, bo to plugastwo było uwiązane na sznurku lub nici, do końca której była przyprowadzona szpilka, zakrzywiona jak wędka, więc chłopiec do takich tryków wyćwiczony, byle się dotknął ową szpilką sukni, wraz i figla na osobie zawiesił”.

PRZED stu laty — do nóg indyckich, ogonów śledziowych, dyndających na sznurku — doczepiane były także karteczki z wierszykami, mniej lub więcej udatnymi, mniej lub więcej wybrednymi. Więc na salopkach damskich, lub krynolinach, woniących lawendą — gęsia noga rozczapierzona, jak nietoperz, a przy niej:

„Żenię się z tobą nie mogę,
Boś nas dwóch razem kochała.
Zesie się na mnie nie poznała.
Nadci za to gęsia noga”!

„Aż dwie sroki razem za ogon
ciągnęły, żadnej nie ujął”.

I nie mniej dokuczliwy wierszyk; taki oto:

„Panie Janie, chodzą wieści,
Że masz przeszło lat trzydzieści,
Ten kłoczek patent zawiera
Na starego Kawalera”.

Półpoście było jeszcze jedną okazją do dania upustu powstrzymanej w okresie postnym — wesołości. — Ponieważ przed kilkoma wiekami był zwyczaj tłuczenia starych garnków, napełnionych popiołem, i to tłuczenia o sąsiedzkie drzwi, aby przypomnieć znajomym, że to już szczęśliwie pół Postu minęło — huk i trzaski rozlegały się dookoła, a towarzyszyły im niby echo — salwy śmiechu i wybuchy powszechnej wesołości. Jeden tylko garnek — biedaczek żalił się a lamentował:

„O ty kucto niegodziwy,
Na cóż ty się odważył,
Pókiś we mnie rosł warzył,
Byleś względny i życzliwy —
Teraz gdyś się już przepalił
Radbyś mnie o próg rzwałił,
O ty kucto niegodziwy!” —

Na morzu Wielkopostowym — marzyli i fantazjowali gastronomowie przed 100 laty — jest wysepka wpół drogi, „śródoście” zwana. Wprawdzie okrętom (rozumieć należy — brzuchom) nie dostarcza słodkiej wody, ani zwierzyzny — „natomiast wstępuje w człowieka ta otucha, że jeszcze drugie tyle żegluga, a człowiek uściska rozkoszną szynkę i pulchną Babę, nota-bene bez grzechu”



mięsopustując, niżli Bogu, czterdzieści dni nieochotnie poszcząc”. — „Od czarta wymyślone mięsopusty” — grzmiała na ostatek ksiądz Wujek, tłumacz Biblii. Ludziska przecie nic nie wzięli na sentencje, czy klątwy — i szaleli bez opamiętania — aż dopóki wreszcie we wtorek, o północy — nie ścisła muzyka, a magicznym zda się trybem — nie wjechał nagle w pośrodek mięsów — półmisz ze śledziem.

Przecie choć wysprzątano resztki mięsowa, a na znak Postu wtańczyły się na stoły kopiaste misy i półmiski przyprawionych najróżniej śledzi (na Kujawach — to nawet podlanych cukrowaną śmietaną) — tańczono przy śpiewkach i pito — aż do białego dnia, aż do Mszy Popielcowej, z której nie tylko wracano, mając głowę ubieloną popiołem, ale wytaczano z kościoła do domu całe gary, lub nawet wory popiołu i wśród śmiechów i dowcipów — w czym przodowała młodzież — obspypywano w chacie lub przed chatą — kto się tylko pod rękę nawinał.

W wielu okolicach Polski był zwyczaj tańcowania we środę popielcową — a to na urodzaj. „Tańce na urodzaj” odbywały się zazwyczaj po karczmach; no i tańczyły same mężatki (babe — jak wówczas mówiono), wyprawiając przytym uciechne skoki. Kiecki pasłaste fruwały też aż pod sufit, bo wtem wierzono, że len, koncie i żytko — wyrusną na wysokość babskich skoków. Trzeba by też być gapielem, żeby się nie demyślić ilu to chłopów i parobczaków oblegało karczmy, cisnąc się do drzwi lub do okien, ciekawie nosy przylepiając do maleńkich zamkniętych szybek.

A tymczasem baby, dobrze już podpite — skacząc coraz zacieklej — wrzeszczały:

„Na konopie, na konopie, żeby się
rodziły,
Żeby nasze dzieci i my nago nie
chodzili”.

A że baby — wiadomo — młęknie mają serca — przemarzniętych na kćś chłopów i parobczaków do uciechy a skoków — dopuszczaly.

Na Mazowszu i na zachodnich obszarach Polski istniał zwyczaj środopopielcowy — wczęcia grajka na przyozdobionych tarczach po wsi — co miało oznaczać koniec szaleństw zapustowych. Grajka, przystrojonego w grochowiwy, wieszono do karczmy, w niektórych jednak okolicach zastępowano go

cyganów, a jednego przebrawszy w niedźwiedzia w czarny kożuch włosom nawierzch i około nóg poobwiązywano, wiodli go od domu do domu, różne figle z nim dokazując, grosze i trunki od pospółstwa, choćwego na takie widoki otrzymując”.

W wielu okolicach Polski utrzymywał się zwyczaj wstępnośrodowy — chwytania niezameżnych dziewcząt i przywiązywania ich sznurami lub nawet łańcuchem — do dość nieraz wielkich i ciężkich kłoców drzewa. Płaczącą rześlami łzami i ciągnącą kłoc dziewczynę — wykupywano dopiero przy karczmie. Kilka cytat wierszowanych, dotyczących kłoca popielcowego, podaje Bystron. Więc u Miaskowskiego:

„Ci gonła dziewczki, co je w kłocie
zaprzęgały,
A one się niebardzo, widzę, ociągają”.

I fragment z zbiorów pieśni siedemnastowiecznych:

„U której Panny w tym roku
Mąż nie hędzie podle boku,
Taka musi już kłoc ciągnąć”.

Z ksiąg grodzkich Biecha, z roku 1642-go Bystron podaje taką oto protestacją (jak to naówczas mówiono) przekupki, Reginy Gołka, dziewczicy dobrze już w lecich po-



deszej, którą to, siedzącą przed kramem, przy kościele, gawiedź uliczna we wstępną środę od handlu porwała i do kłoca przytwierdziła.

„Oto ci wśród strasznego krzyku i wrzasku całemi zastępami do protestującej przypadli, jedni z nich udający niedźwiedzi, drudzy przebrani za Niemców, inni za kobiety i dziewczęta, a reszta, w liczbie około dwudzie-

wego...”, opowiadał o cudakach szczupakach, co im wątróbki polizająca i uszy — jakoby jakowemuś monstrum — podrabiają. — Nie głodzone się wtedy, choć ryb ponoć masłem nawet nie przyprawiano, lecz olejem z siemienia lnianego, czy z konopnego, z orzechów, lub ze słonecznika.

A Miaskowski — nie skrupulantów, którzy tręcili się w Poście

Reiner Maria RILKE

[tłum. Mikołaj BIESZCZADOWSKI

O MĘCE PAŃSKIEJ

Pod Krzyżem

O gdybyś tylko chciał — nie musiałbyś
Zejsć na ten świat poprzez kobiece ciało.
Zbawców wydzierać trzeba głuchym skalom,
Tam gdzie z przemocy moc wytryska użwyz.

I czy Ci nie jest żal twój drogi kraj
Tak osamotnić. Spójrz jakżeśmy słabi, —
Ja tylko mlekiem płynę, tylko łzami,
Ty ponad czas nieprzeliczeniem trwasz.

Za wielkość takich cen mi Ciebie obiecano —
Czemuś się nie wzbił ze mnie — groźny grom,
Jeśli tygrysy kły sążone Panu
To czemuż strzegł mych dni niewieści dom?

Łagodnych twoich szat tkac miękkie zwoje
Tak aby nawet i najmniejszy ślad
Szwów nie wierał Cię — to było życie moje.
A oto teraz Ty przemieniasz świat.

Pieta

Spełniona boleśń ma i bezimienna
przenika mnie na wskroś. Spoglądam jak łamienna
spogląda głębi.

Zmartwiałam oto już i tylko wiem:

Ty będziesz rósł —

..... będziesz tak rósł

jak nazbyt wielki ból

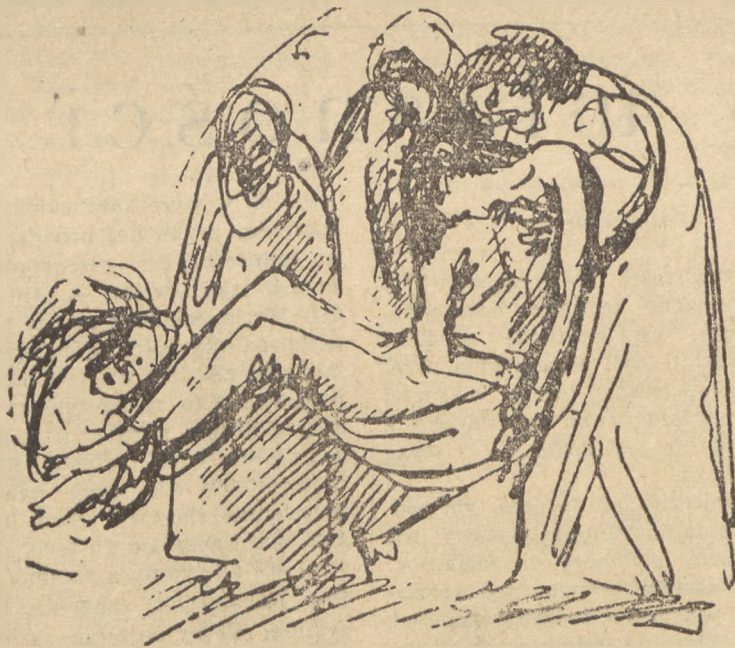
który nad przestrzeniami serca mego
uschodzi.

Oto mi zwisasz krzywo przez kolana,

Już nie potrafię więcej mego Pana
urodzić.

Zstąpienie Chrystusa do piekieł

Umęczona do dna jaźń uszła ze strasliwego
Ciała Cierpienia, porzucając je. W górę
A ciemność przeraziła się samej siebie
i na śmiertelną bladeść
rzuciła nietoperze i jeszcze wciąż wieczorami
kołysał się w ich lotach lęk przed dotknięciem
wystygłej męczarni. Ciemny, zmacony dech
zamierał nad zwłokami, a w mocarnych,
bezsennych zwierzętach nocy rosła głuchota i niechęć.



rys Aldo Carpi

Jego zbawiony Duch krążył nad krajobrazem,
jakby tam zostać chciał jeszcze. Cierpieniu jego już dość
było doznania i zgodne

wydały się mu sprawy pochłonięte nocą.
Jak zasmucona przestrzeń sięgnął wysoko nad Siebie
ale ziemia zapiekła w pragnieniu Jego ran.

Ale ziemia rozwarła się i krzykiem wołała przepaść.

On, znawca kaźni, usłyszał jęk

piekła żadnego nowiny

o wypełnionym trudzie. I wiedział że nad kres

(bez końca) jego ofiary ono trwa własną męką.

I runął duch całą pełnią zdjęty ciężaru

stworzenia. On kroczył jak wiaśtun

przez poblask niesamowity pasących się cieni —

wzniósł oczy na Adama. Spiesznie

podążył niżej, zniknął, pojawił się i zapadł

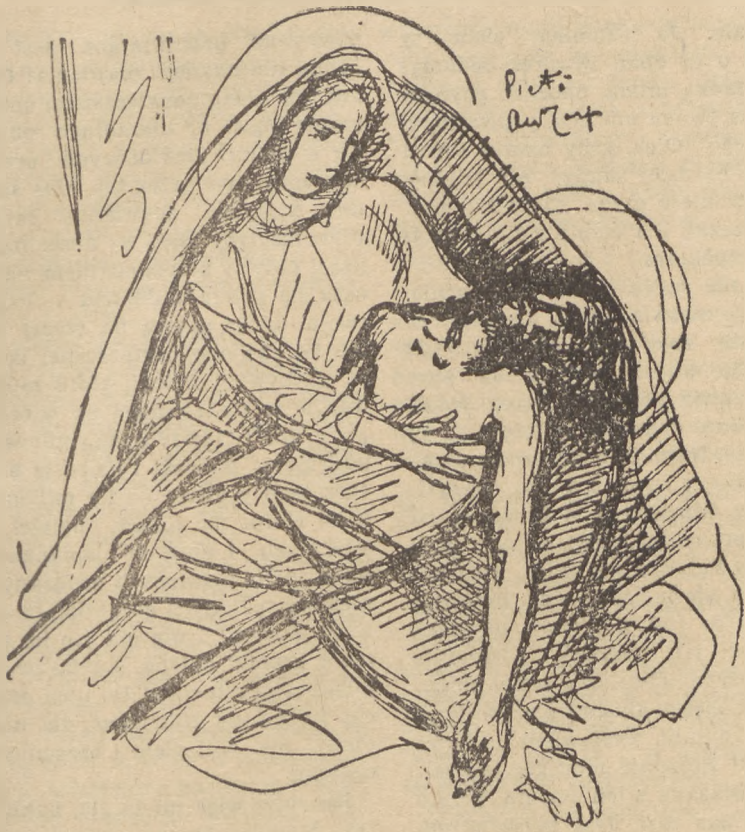
w zdżdziałe głębie sztolni. Nagle (wysoko) nad grzywą

Spionionej wrzawy, na smukłą

wieżę swej łaskawości wstąpił. Bez tchu

bez tła — Pan cierpienia — i milczał.

Tłum. Mikołaj Bieszczadowski



rys. Aldo Carpi

Ostatnia wieczerza

Zebrał się — wylekli, zdziwieni
ukrag tego, Który jak zegaru dźwięk
uchodził z nich ostatnim uderzeniem
i blisko obok, już im obcy, szedł.
Dawna samotność znów wyciągnie dłoń
unosząc Go do wnętrza swych dokonań
Więc będzie musiał zejść w Oliwiny Ogród
A ci, których pokochał, zdradzą Go.

Zaprosił ich na czas ostatnich święceń
I (jak gołębie, które liści skłon
wyplaszają) spłoszył ich na chlebie ręce
złożone, kiedy rzekł. Więc chcieli pierzchnąć
I trzepotali trwożnie wokół stołu
Szukając gdzieby uciec. — Ale On
był wszędzie jak godzina tego zmierzchu.

Ogród Oliwiny

Zszedł w poszarzały i liściasty mrok
Oliwinych drzew gdy w szarość pol się tonią
I schylił skroń, którą przysypał proch
Głęboko w pylny był gorących dłoni.

Już wypełniło się i nadszedł kres
Trzeba mi teraz iść — teraz gdy ślepnę. —
Dlaczego nakazujesz mi donośnie rzecz
Ześ jest, gdy blask Twój w oczach moich bladeń?

I nie wiem gdzie Cię szukać — ani we mnie
Ni w innych nie masz Cię — nawet kamienie
O Tobie milczą mi. — Osamotnienie.

I schylam się pod złom ludzkiego zła —
Boś Ty mnie im na odkupienie dał
Lecz Ciebie nie ma już. — I tylko łza.
Później opowiadano: Cherub wstał.

Dlaczego anioł? — Ach, to wstała noc.
Szeleszcząc obojętnie w ustych liściach.
Uczniowie przez mrok snów szeptali ingliście.
Dlaczego anioł? — Ach, to wstała noc.

Noc która szła, nie była niezwykajna.
Podobnych mija tysiąc.
Spią pod nią psy i kamień w sen zapada,
Ach boleściwa — cichym snom nie rada,
Wypatrując, kiedy pocznie świtać

Bo anioł przy proszących tak nie stoi,
Nie olbrzymieje z ich przyczyny noc
Rozpaczących niecha wszelka dłoń
I wydawani są przez ojców swoich
I odrzucani od matczynych — on.

KALI
SYLWETKI
Złoty Renu

Złoty Renu

URODZIŁ się w Bonn, nieopodal Kolonii, na poddaszu mrocznej rudery, z matki ex-pokojówki, która owdowiawszy po kamerdynerze poślubiła tenora, nie grzeszącego inteligencją, lubiącego natomiast zajrzeć do butelki. Tenor nazywał się van Beethoven. Bez zapalu, choć i bez niezadowolenia, witał każdego nowourodzonego mu spadkobiercę biedy z nędrą i czekał aż odrobnie podrośnie. W tamtych artystycznych czasach talent, odkryty w berbeciu, przekształcał się w rekach przedsiębiorczego ojca w karierę i bogactwo.

Nie cudowny los cudownego dziecka: dzieciństwo cingle ze zmorą głodu u proga, złe, ponure i ciężkie od też i gruźliczych kaszłów matczynych, zgryzot i rozpaczy. O, jakże wcześniej plecki Ludwiczka van Beethovena musiały zgiąć się pod brzemieniem obowiązku i błękitno-szare oczki zamyślić się o zarobku na chleb powszedni. Odkąd czuły papcio odkrył w czterolatku niespotykaną muzykalność, siadywał Ludwiczek kamieniem przy klawikordzie, albo zamknięty na dwa spusty uczył się od rana do wieczora na skrzypcach. Umrzeć można, nie tylko obrzydzić sobie wszelki artyzm. A w jedenastym roku życia grać poszedł do orkiestry teatralnej, w trzynastym już organistował. W siedemnastym, och, w siedemnastym świat zwałił się nagle na Ludwiczka — stracił matkę, „przyjaciółkę najlepszą“. Będzie głową rodziny, będzie harował i wychowywał braci i doznawał tysiąca upokorzeń z powodu ojca pijaka.

Później wiek męski, nadludzkie trudy, przyjaźnie, którym dawał więcej niż one jemu, zapamiętałe porywy niewinnego wiecznie serca w niewinnym wiecznie ciele i niespokojne sny o szczęściu z Teresą von Brunswick. Pasma kłesk i wreście kłeska nad kłeskami: głuchota.

Gdzie szukać pociechy, czerpać otuchę, wyglądać ukojenia?

W przyrodzie. W sztuce.

Prawda, że uciekł do Wiednia, zawsze wtedy marzył o rodzinnym Bonn i pięknym kraju reńskim. Fata morgana tęsknoty: domy, niby Sonata quasi fantasia, otulone w światło księżycy. I o brzasku, wkoło miasta, szeroko, wzgórze, ruiny zamczysk, drzewa bardziej przezeń kochane od ludzi, gaje, lasy; łąki i kąpy wierzb, piękny pejzaż pastoralnej pogody Niebo okrywa ją, niby olbrzymia koncha o barwie turkusów, w której szumi muzyka.

Ta muzyka, to Ren, to kołyska Pierwszej Symfonii i andante z Sep-tuoru.

Więc?

„Nie ma dla ciebie życia osobistego“ — zanotował po zerwaniu z nim Teresą, „podobnej aniołem“ — źródło szczęścia dla ciebie wyłącznie w sztuce“.

„Żyj dla innych“.

Beethoven żył dla innych, wiele cierpiąc, ażeby dzięki cierpieniu nieść radość, radością bowiem była jego muzyka, najtragiczniejszego z największych. Boleśń i radość — przeistaczał jedną w drugą, jak andante w allegretto Symfonii Paster-skiej.

Artysta unieśmiertelniał człowieka. Zbliżył się przez cierpienie do bóstwa i stanął na niedosiętych szczytach wśród swych Dziewięciu Symfonii.

Apollo wśród dziewięciu Muz.

Poza „Filoteę“ ogół katolików polskich nie zna dzieł Św. Franciszka Salezego, patrona pisarzy katolickich i świętego prozaika Francji. Zupelnie jest u nas nieznaną jego obfita korespondencja, którą się chętnie posługiwali dla kierowania ludzi ku Bogu. List niniejszy adresowany jest do Eugenii Fremyot (2-o voto), fundatorki i dobrodziejki kilkunastu domów Zakonu Nawiedzenia N.M. Panny. Charakterystyczny dla tego niestrudzonego i czarującego apostoła, który przynosił „kropelkę miodu nad beczkę octu“, subtelny i dowcipny, oddaje w pełni żywe barwy jego stylu, zaciekawia aktualnością problemów i współczesnym do nich podejściem. Nie kwestionując w niczym istotnej wielkości powołania zakonnego, którego jednak nie dopatruje się w Eugenii de Montferrant święty kreśli piękny obraz zadań i cnót obowiązków tych, którym Bóg wyznaczył zadania świeckie.

przyp. tłum.

Droga i miła Bogu Eugenio!

Mimo spóźnionej odpowiedzi nie będziesz się chyba zbyt na mnie gniewać, wiedząc, jak wiele mam teraz pracy i jak wielu staję się dłużnikiem. Z tych samych względów odpowiem swoją ograniczoną do dwóch punktów, które uważam za najważniejsze. Niestety, nie mogę Ci ustąpić, drogie dziecko. Powtórzę jeszcze dobitniej to, co mówiłem podczas naszej ostatniej rozmowy w Dijon. Przyznam się, że wolałbym dziś pisać w innym tonie, oszczędzając Ci moralów. Dziś to niebieska moja patronka za bityła wreszcie na ołtarzach i w dniu dzisiejszym również ukończyłem książkę, którą, mam nadzieję, że wkrótce przeczytasz z pożytkiem.¹⁾ Zaiste to dies letitiae magna! (dzień wielkiej radości).

Najpierw więc — radzę Ci z całego serca, porzuć wszelkie myśli na temat twojego rzekomego powołania. Szczerze podziwiam twoją pobożność, ale obawiam się, że w tej pobożności więcej jest egzaltacji, niż roztropności, królowej cnót. Pragniesz wstąpić w ślady pani Joanny de Chantal²⁾ i podkreślasz wciąż podobieństwo waszej sytuacji życiowej. Rzeczywiście, masz czworo dzieci i straciłaś również ukochanego męża w tragicznych okolicznościach,³⁾ ale czy to wy-

starczy, aby wejść na drogę, po której ona idzie? Droga to ciężka i usłana cierniami, trzeba wiele hartu, aby po niej kroczyć. Przede wszystkim — twoje dzieci są młodsze i potrzebują bardzo matczynej opieki. Czy sumienie pozwala ci zostawić je same na świecie? Mówisz o pałacu Bożym, a skąd masz pewność, że ten pałac wskazuje ci właściwie cel, którego tak mocno pragniesz? Jak wielce się nieraz myłmy w interpretacji zdarzeń i nieszczęść, które na nas spadają, jak często głosem Bożym nazywamy głos naszych przelotnych nastrojów, naszego zamaskowanego egoizmu!

Niesłusznie też chyba zzymasz się na mnie, że zamykam przed tobą furtę zakonu siostr od Nawiedzenia N.M. Panny. To przecież nie ja, lecz nasza kochana matka Joanna Franciszka dźwierży do niej klucze. Nie rozmawiałem z nią dotąd na temat twojego powołania — zwróć się do niej z takim samym zaufaniem jakim i ja ją obdarzam, nie chwalam się jej rozstrzygnięcia. Chciałbym mieć choć w części tę miłość Bożą, jakiej ona jest pełna — to naprawdę owa niewiasta mężna, o której mówi Pismo, że „daleko i na krańcach świata trzeba szukać jej ceny“. Myślę, że nawet Salomon nie znalazłby w Jeruzalem kobiety równie mądrej i doskonałej.

Podziwiam zawsze niezwykle cechy twojego umysłu, twój szczerzy zapal do rzeczy Bożych, twoje dobre serce, tak ofiarne dla biednych

Św. Franciszek Salezy do Eugenii de Montferrant

i tym goręcej się modłę, aby te wszystkie zalety rozwinęły się w tobie coraz wspanialej; trapi mnie obawa, abyś tych rzadkich darów nie zmarnowała jednym fałszywym krokiem.

Pamiętaj, miła Eugenio, że świętość nie wymaga ucieczki od ludzi, lecz ucieczki od siebie samego. Wydaje ci się pewnie, że tylko w zakonie osiągniesz doskonałość, ku której za łaską Bożą dążysz. Ale świętość — to miłość, która nie konieczne rozwijać się musi za murami klasztorów. Klasztor jednym pomaga, a innym przeszkadza kochać Boga i bliźnich. Jeśli wybierasz się na pustynię, aby osiągnąć upragnioną samotność, nie wyrzekając się siebie — nie osiągniesz ani spokoju, ani samotności. Odsobnisz się wprawdzie, ale w towarzystwie złych duchów, które zmieszczą się razem z tobą w klasztornej furcie.

A teraz spróbuję usprawiedliwić się przed tobą z podejrzania, które z takim rozżaleniem skierowałaś na mnie. Utrzymujesz więc, że ja sądzę cię zbyt surowo, a postępuję tak, ulegając wpływom i niesłusznym sądom twojej matki. Z twoją czcigodną matką rozmawiałem tylko raz na ten temat. W samej rzeczy uskarżała się trochę z powodu zbytnej troski, jaką poświęcała swojemu wyglądowi, ze szkoda dla swoich dzieł. Ale to nie jej skargi (zresztą bardzo delikatne) wywołały słowa, które usłyszałaś ode mnie w Dijon. Zrodziły je moje własne spostrzeżenia. Piętnaście lat kapłaństwa wyostrza nieco wzrok. Ja ciebie, drogie dziecko, nie sądzę surowo, bo ja ciebie w ogóle nie sądzę. Nasz Chrystus nie pozwala nam nikogo sądzić — do Niego należy sąd. Gdybym był tobą, na pewno o wiele mocniej ulegałbym pokusie próżności, niż ty, wiem to do-

skonałe. Ja rozumiem ciebie, ty masz o co dbać. Stwórca obdarzył cię rzadką urodą, chociaż, gdybym był na twoim miejscu, poprosiłbym Dobrego Ojca, żeby okazał się tu nieco bardziej skąpy. Ale trudno, musisz nieść przez życie ten niebezpieczny dla ciebie i dla innych dar z pokorą.

Ja nie sądzę ciebie, lecz wadę, której nieświadomie ulegasz. Jestem-że zbyt dla niej surowy? Wydaje mi się, że jest ona zbyt pobłażliwie osądzana przez świat. Nie odnoś tego wszystkiego, co tu napiszę. Najmilsza Eugenio, do siebie, pragnę bowiem z całą wyrazistością odmalować ci brzydotę tej tak pospolitej wady, która tyle szkody ludzicom wyrządza, a od której ja nie jestem wolny. Próżność nie tylko jest przywarą niewiast, ulegają jej również posłusznie i mężczyźni, chociaż w innej postaci. Jak ciężko musimy z nią walczyć i my, kapłani, wystawieni na świeczniku! Próżność niewiast jest silnie związana z ich naturą, przeto mniej nas razi. Jest zarazem mierniejszego gatunku, odnosząc się do tego, co najmniej warte i najniecierwalsze, a mianowicie do powierczowości ciała. Podobnie grzybek, ucepiony leśnego krzewu gęźniej się przedstawia od potwornej huby — polipa, pasożytnącego na wielkim drzewie.

A mimo tego, jak wiele ona soków żywotnych wypija z serc kobiecych, jak silnie się w nich zakorzenia, jak je wysusza egoizmem i odwraca od Boga! Często z tą wadą staczam boje w swojej pracy duszpasterskiej, i wierzę, droga Eugenio, że nieraz wolałbym się pasować z zacietrzewieniem i przesadami heretyków całej prowincji Chablais, niż z próżnością jednej pani z wielkiego świata. Nieraz łatwiej mi przychodziło w nieszczęśliwym, gotującym się do zabicia bliźniego, wzbudzić poczucie wstrętu do zamierzonej zbrodni, niż wytłumaczyć takiej pani, zatwardziałej w swoich przyzwyczajeniach, że krój kołnierza jej nowego płaszcza nie jest rzeczą najważniejszą na świecie. Silę się na najlepszą wymowę, o której mówią, że mam nie mała, nie zdołałem jej skłonić do uznania całego nicstwa próżności. Bo to prawdziwe nicstwo jest nieprzenikliwe. Bardziej nieprzenikliwe, niżeli zbrodnia, a równie okrutne. Jak stalowa misurka, koronkowej roboty, skutecznie chroni wojaka od ciosów, tak próżność pewnie opancerza nas przed strzałami łaski Bożej. Jest to szkoła umiłowania siebie, w której kobiety chętnie wleczą się przez całe życie, aby dojść do perfekcji. Skupia ich uwagę na przelotnej formie własnych kształtów fizycznych, aby przez to je utrwalić w kontemplacji własnego „ja“. Niszczą w nich ducha oglądany w ciągu dnia obraz własny zasłania im obraz Boga, w którym w czasie modlitwy trzeba się roztopić. Oto masz główną przyczynę tych rozstrzeniń, na które się uskarżasz. Próżność jest rodzoną córką pychy i mamka egoizmu — dwóch grzechów, które rujną życie wewnętrzne.

Chcemy się ponisyswać naszym wyglądem, skupiać na sobie wzrok. Pragniemy, aby nas wszędzie podziwiano i wielbiono. Jak to pogodzić z nauką naszego Mistrza, który zaleca cichość i pokorę, zachęca do życia w ukryciu, w zapomnieniu od świata?

Pomnij, droga Eugenio, podczas gdy spędzasz długie godziny przed lustrem na trenowaniu włosów i ubinaniu sukien, pomnij, iż życie jest tak krótkie, a każda chwila, bez-

powrotnie przemijająca, jest tak cenna dla naszego zbawienia! Czemu tyle czasu poświęcasz na upiększanie tego, co niezadługo obróci się w proch? Ileż dobrych uczynków mogłabyś przez ten czas spełnić, których zbawienne skutki przedłużyłyby się w nieskończoność! Gdy ty z upodobaniem nasyca się swoim widokiem — dziele twoje może patrzeć na rzeczy złe, lub pozbawione dostatecznej opieki, zdobywają nałogi, które zaprowadzić je kiedyś mogą na wieczne potępienie! Gdy ty z taką pilnością pudrujesz policzki i czernisz brwi (bez tego piękne) — ile milionów ludzi cierpi na łóżach boleści, w szpitalach i ubogich lepiankach, na ulicach i rozdrczających, związanych niemocą, palonych gorączką, targanych głodem! I nie ma kto im zanieść kromki chleba, kubka wody, pocieszających słów! Do nich przebieżaj się Chrystus, dla nich darzy cię zdrowiem i bezcennym czasem!

Mie mniej więc mi za złe, najmilsza Eugenio, że tak surowo osądzam tę niewinną słabość. Te drzwi się lekko otwierają, ale prowadzą do wszystkich nagannych miłostek, od których, jeśli Bóg cię dotąd uchronił, nie twoja jest zasługa. Zaiste, te drzwi całkiem nie pasują do surowej furty klasztornej, którą pragniesz przestąpić. Zastanów się, czy w tych zamiarach nie czai się też jakaś odrobina próżności? Jak mówiłem, zapewne nieświadomie ulegasz tej skłonności, ale o ile sama nie odczuwasz nic zdrożnego w zbytnej trosce o swoje ciało, pomnij na grzechy cudze, których możesz być powodem. Tu jest miejsce, w którym trzeba przyłożyć siekiere do korzenia — uderzaj mocno i bez wahania. Z całą ufnością prosz Boga o pomoc, On wesprze twoją rękę. Jeśli nie uda ci się za pierwszym razem, nie upadaj na duchu, ponawiaj ciosy, nie zniechęcaj się, nie gniewaj się i nie złość się na siebie. Stodczy się zbiawiającą cnotą, nie należy odmawiać jej samemu sobie. Wierz mi, droga córko, że jak napomnienia ojca większą mają moc nad dziecięcym, o ile są łagodne i pozbawione cierpkości, tak podobnie ma się rzecz z naszym sercem, które, kiedy pobłądzi, należy strofować siodko i ze spokojem, raczej użalając się nad nim, aniżeli na nie się żaląc.

W okresie Wielkiego Postu, kiedy przeżywamy wszyscy Mękę Naszego Najdroższego Zbawiciela, ofiaruj Jezusowi jakieś drobne umartwienia, na przykład postanów się mniej oglądać w zwierciadle, lub nawet całkiem tego zaniechać, ograniczając się tylko do tego, co jest konieczne dla zewnętrznej przyzwoitości w ubiorze.

Za hojny dar dla moich ubogich niech ci zapłaci On, Pierwszy wśród biednych i opuszczonych. Kiedy przyjedziesz do Annecy, porozmawiamy jeszcze o twojej przyszłości. Być może, że będzie ona inna, niż ją sobie teraz wyobrażasz. Mnie, mam, że staniesz krótko przed głównym ołtarzem waszego pięknego kościoła Saint-Michel, ale w stroju odmiennym od habitu nowicjuszek. Niechaj Dobry Bóg, który jest Samą Miłością, ma cię wraz z rodziną w Swojej przemożnej opiece. Czcigodnej pani matce oraz zacnemu panu Delanoue przesyłam serdeczne pozdrowienia i wyrazy najgłębszej czci. Sprawa jego siostrzeńca jest na dobrej drodze, osobno prześlę mu wiadomości. Oddany Ci zawsze in Christo Jesu

† Franciszek
biskup Genewy.

Prawo własności

(Dokończenie ze str. 4)

produkcji, o której mowa w Projekcie, może w początkowej fazie mieć jeszcze charakter kapitalistyczny, to jej tendencja rozwojowa pójdzie jednak w kierunku własności indywidualnej pozbawionej elementu wyzysku, wobec programowych założeń wstępu do Projektu, zwłaszcza przedostatniego akapitu mówiącego m.in. o walce „o całkowite zniesienie wyzysku człowieka przez człowieka“.

III.

SOCJALISTYCZNY SYSTEM WŁASNOŚCIOWY A ETYKA KATOLICKA

PYTANIE, na które mamy teraz odpowiedzieć brzmi: czy socjalistyczny system własnościowy, a zatem czy Projekt Konstytucji w artykułach traktujących o własności, pozostaje w sprzeczności z etyką katolicką? Jeżeli przypomniemy, że naturalne prawo własności jako wyraz władzy człowieka, istoty rozumnej, nad rzeczami zewnętrznymi może być realizowane w dwóch zasadniczych formach: kolektywnej i prywatnej (jednostkowej), przy czym zastosowanie pierwszej albo drugiej z nich zależy od tego, która z nich na danym etapie historycznym lepiej gwarantuje rodzajowi ludzkiemu jego egzystencję, boć obie te formy wynikają z ius gentium a za tem z wnioskowania z prawa natury przy uwzględnieniu warunków

rzeczywistości historycznej — to stwierdzimy, że nawet daleko posunięte uspołecznienie środków produkcji, czyli bezwzględna przewaga społecznej formy własności nie narusza prawa naturalnego, a zatem nie jest sprzeczna z etyką katolicką.

Konieczne jest tu poza tym podkreślenie następującej sprawy: w dziedzinie przedtem, że socjalistyczny system gospodarczy wytworzył specjalny rodzaj własności, tzw. własność osobistą. Otóż, jeżeli marksiści jako konkretni realizatorzy haseł socjalizmu, znoszą własność prywatną, to nie oznacza to, że znoszą w ogóle prawo do posiadania czegośkolwiek jako swojego. Marksisci, jakżeśmy to widzieli na przykładzie art. 9 Konstytucji Radzieckiej, odnoszą termin „własność prywatna“ tylko do własności środków produkcji. Znoszą zaś tak pojętą własność prywatną tylko o tyle, o ile łączy się ona z wyzyskiem człowieka przez człowieka, o czym świadczy również przytoczony art. 9. Nie o to jednak chodzi. Albowiem wiadomo, sami marksisci nam o tym mówią, że prywatna własność środków produkcji, choćby nawet pozbawiona elementu wyzysku człowieka przez człowieka, traktowana jest w ustroju socjalistycznym jako coś orzeźwiającego, zdążającego ku uścisłu w społeczną własność środków produkcji. Chodzi natomiast o to

że jeżeli w etyce katolickiej prawo własności prywatnej oznacza prawo jednostki do „rozporządzania czymś jako swoim“ — jak pisał O.J. Woroniecki O.P. — to nawet ta forma własności, która wynikając z ius gentium nie jest prawem natury, jak to zaznaczyliśmy, jest w socjalizmie zagwarantowana w postaci własności osobistej. Różnica terminów nie może nam tu przesłaniać zbieżnej treści. Sytuacja sprowadza się do tego, że ustrój socjalistyczny a zatem i Projekt Konstytucji, nakreśla nowe granice między społeczną a indywidualną formą własności, które obie nie są prawem naturalnym, z wyraźną korzyścią dla społecznej formy własności, nie niwecząc jednak równocześnie aspektu indywidualnego jako „prawa do rozporządzania czymś jako swoim“.

Dlatego możemy zakończyć jasną i niedwuznaczną konkluzją: socjalistyczny system własności nakreślony przez Projekt Konstytucji nie pozostaje w sprzeczności z etyką katolicką i dlatego jest dla katolików do przyjęcia. Natomiast na pewno różnić się będą katolicy z marksistami w zakresie ustalania „filozofii posiadania“, gdyż materializm ogranicza ją tylko do służeńia doczesnemu dobru materialnemu i kulturalnemu człowiekowi, podczas gdy światopogląd katolicki każe własności służyć również duchowemu, pozadoczesnemu celowi człowieka.

Rudolf Buchala

w przekładzie Tadeusza Kordyasz

Zygmunt LICHNIAK

OBRACHUNKI ZE WSPÓŁCZESNOŚCIĄ (22)

DIAGRAM ROZWOJU

czyli o tzw. powieści produkcyjnej

GDYBY ktoś bardzo odważny dokonał eksperymentalnej operacji, polegającej na wyeliminowaniu z dotychczasowego dorobku powojennej literatury polskiej, a zwłaszcza jej dorobku trzech lat ostatnich, wszystkich relacji o ewolucyjnych i rewolucyjnych przekształcaniach bazy gospodarczej naszego kraju — musiałyby dojść do dwóch niewątpliwych wniosków.

Po pierwsze — literatura tak otrzebiona byłaby potwornym faizmem historycznym, zakłamywałaby obraz istotnych przebiegów socjologicznych, spłycałaby widzenie świata, groziłaby regresją w rozumieniu obiektywnych praw ekonomicznych, które nim współrządzi.

Po drugie — literatura bez powieści produkcyjnej przestałaby właściwie istnieć, skurczyłaby się do kilku Kazimierzów Brandysów, Tadeuszów Brez czy Adolów Rudnickich i skromnego zastępu katolickich pisarzy, dałaby się ustawić niemal na jednej półce, zajęłaby w katalogu za ledwie kilkanaście kartek, a w podręczniku przyszłego historyka, kuszającego się o zwierzchność, nie przekroczyłaby ram półstronicowego akapitu.

Obydwa te wnioski powinny uwyraźnić istnienie dwóch ważkich problemów współczesnego piarstwa polskiego.

Problem pierwszy: tzw. powieść produkcyjna jest niezbędnym elementem literackiej rejestracji i zbogacania wiedzy o naszej epoce. Świadomość wielkiej istotności przemian gospodarczych świata współczesnego i Polski Ludowej uzasadnia w sposób obiektywny ogromną rolę powieści produkcyjnej. To, że współczesne piarstwo polskie zrozumienie owej roli przetłumaczyło na język konkretnych poczynań i dokonań warsztatu literackiego, jest faktem świadczącym o silniejszym niż kiedykolwiek włączaniu literatury z życiem, o głębszym niż dawniej przeżywanym i realizowanym przez literaturę ambicji nie tylko opisywania, lecz także wyjaśniania świata.

Problem drugi: tzw. powieść produkcyjna zmajorzowała literaturę współczesną.

DLA uniknięcia zasadniczych nieporozumień warto sformułowania obydwu problemów oprzytyć dodatkowymi zastrzeżeniami.

Jeśli chodzi o problem pierwszy: Pojęcie powieści produkcyjnej nie wklucza bynajmniej zainteresowania dla zjawisk nie objętych nazwą procesów ekonomicznych, lecz przeciwnie — w ostatecznym i doskonałym wyrazie artystycznym ma przede wszystkim te właśnie zjawiska, które w języku katolickim nazywają się życiem duchowym, tłumaczyć i wyjaśniać. Jednak dotychczasowa praktyka wykazuje, że nawet szczerze osiągnięcia powieści produkcyjnej, jak na przykład powieść Aleksandra Ścibor-Rylskiego, są wobec tej sfery zjawisk zbyt ubogie.

Jeśli chodzi o problem drugi: udział pisarzy katolickich nie może się opierać na eskapicznych wyprawach we „wszędzie i nigdzie”, nie może utwierdzać w zgubnym przekonaniu o nieistotności procesów gospodarczych. Oczywiście, nie ma sensu ograniczać nawet, zbyt namiętnie pisarza katolickiego do powieści produkcyjnej, gdyż inaczej on hierarchizuje elementy rzeczywistości, ale trzeba stwierdzić lojalnie, że wielkim błędem naszych twórców katolickich jest zbyt mały szacunek, zbyt mała odwaga czy zbyt mała wnikliwość w ocenianiu i eksploataowaniu artystycznym wiedzy o socjologicznych mechanizmach współczesnych nam wydarzeń historycznych. Doceniając wagę obydwu problemów i rozumiejąc postulatyczne kon-

sekwencje wynikające z dodanych do nich wyjaśnień czy zastrzeżeń, tym gorliwiej zająć się trzeba każdym pełniejszym zapisem artystycznym, każdym wyrazistym i doskonałym w swoim kształcie literackim diagramem rozwoju, każdą cenniejszą powieścią produkcyjną.

Gatunek ten był i jest nadużywany przez wielu Bartelskich, Husarskich i innych. Bartlesko-husarski sposób, powierzchowność i bezproblemowość nastrojają pesymistycznie, ale na szczęście zajęli się tym samym typem powieści i dobrzy pisarze, pisarze z prawdziwego zdarzenia.

SPOŚRÓD prób bardziej udanych, które częściowo omawiałem już w roku ubiegłym, zasługują — moim zdaniem — na uwagę dwie ostatnie książki Stanisława Wygodzkiego*).

Obydwie te książki łączą nie tylko bardzo silną więź tematyczną, ale także ich wewnętrzna, niejako strukturalna, warsztatowa zależność, która wiele wyjaśnia, a w każdym razie prowokuje do przemyśleń.

„Opowiadanie buchaltera” jest jak gdyby ekspozycją do powieści „Jelonek i syn”, czy raczej konkretnym tłem faktograficznym dla ubelaryzowanej narracji powieściowej. Robi wrażenie arcyciekawego w pomysłach notatnika lub bardzo wartościowego brulionu pisarskiego, z którego później autor wyprowadzi zaplanowaną i już „na czysto” zrobioną kompozycję literacką. W Jesionkowskim z powieści bez trudu poznajemy Maciejewskiego z opowiadania. Pani Grzybowa nawet nie zmienia nazwiska przechodząc z opowiadania do powieści. Te same tu i tam napięcia sytuacyjne, te same problemy, ten sam teren będąciskiej huty bielej cynkowej, chociaż inny rozkład akcentów i inny punkt ustawienia kamery pisarskiej.

Czytając obydwie książki Stanisława Wygodzkiego śledzimy nie tylko różną w formie opowieść o tym samym, ale wglądamy także w tajemnicę pisarskiego warsztatu, obserwujemy proces kryształizacji koncepcji pisarskiej i przebieg belytryzowania konkretnego materiału faktograficznego. Pozwala to uchwycić przynajmniej ogólną zasadę mechanizmu powstawania dzieła literackiego, zwanego powieścią produkcyjną, a tym samym ułatwia częściowe wyjaśnienie jego złożonej struktury.

Oczywiście, zacząć trzeba od „Opowiadania buchaltera”. I to nie tylko lekturę, ale także omówienie dokonał Wygodzkiego. Bo — powiedzmy to od razu — „Opowiadanie buchaltera” pasjonuje o wiele więcej niż „Jelonek i syn”. Wyznam szczerze: jest dla mnie o wiele lepsze, ciekawsze i — mimo braków — pełniejsze. Ale trzeba zaczynać od początku, a nie od końca.

W „Opowiadaniu buchaltera” Stanisław Wygodzki odniósł niewątpliwie sukces pisarski. Jest to sukces jedyny w swoim rodzaju. Namiętny i skrupulatny klasyfikator będzie miał nie mało kłopotów z zaszufłkowaniem tej książki. Autor opowiada w niej przez usta buchaltera Maciejewskiego historię huty bielej cynkowej w Będzinie. Buchalter jest człowiekiem rzeczowym, cytuje rachunki, zestawy finansów, całe sprawozdania z posiedzeń różnych komisji, pokazuje listy, przedstawia odpisy analiz chemicznych. Autor nie streszcza tego, nie opisuje, lecz przenosi na karty swej książki. Oto Maciejewski opowiada o trudnościach

ekonomicznych huty i pokazuje ilustracyjny list. Autor powtarza za nim. A wszystko dokumentnie, z podziałami, z datami, z mnóstwem skrótów, z pieczętkami niemal. Więc nie opowiadanie, a reportaż? Są jednak i typowo literackie chwytły, interwały wspomnieniowe, regresje, dwutorowość symultaniczna. Więc opowiadanie? A może pół-reportaż i pół-opowiadanie? Zostawmy skrupulatnikowi klasyfikatora nad jego szufladkami. Nie to jest ważne.

Ważne jest to, że „Opowiadanie buchaltera” jest książką tak ciekawą i pasjonującą, jakiej już dawno nie dali nam pisarze współcześni. Każdy, kto zrozumiał, jak istotne są powiązania ekonomiczne, jak złożona jest problematyka historii przełomowych zmian struktury gospodarczej, każdy kto zrezygnował z płytkiego lekceważenia „nudy statystycznej”, każdy kto ujrzeć potrafi i w cyfrach wykazów produkcyjnych jeden z ważkich elementów losu człowieka — w książce Wygodzkiego znajduje dynamiczny, wstrząsający i urzekający swoim zamaskowanym patosem obraz twórczej ewolucji, diagram rozwoju wielkiego procesu, który przeobraża strukturę gospodarczą losu ludzkiego.

Cytowane in extenso listy, podania, protokoły, analizy czy wykresy stają się zapisem ogromnej walki, ogromnego wysiłku, rejestrują kolejne etapy zamierania kapitalizmu z jego wszystkimi wyrodznięciami, ukazują coraz szersze perspektywy społeczno-gospodarczego programu socjalizmu.

ZAPIS ten w wykonaniu Stanisława Wygodzkiego posiada niewątpliwie walor artystyczny. Trudno wyjaśnić i nazwać mechanikę jego oddziaływania. Bo niby co pięknego w brzydkim języku urzędowego okólnika lub sztywnego protokołu? Co pięknego w analizie chemicznej stopnia wilgotności popiołu cynkowego? Jednak te elementy utworu działają nie tylko wymową swej treści, nie tylko wymową ilustracyjnych faktów. Wzruszają w jakiś inny sposób jeszcze, są przeżyciem estetycznym. Polega ono chyba na ich wzajemnej zależności, gradacji, wzrastającej dynamice. Kompozycja „Opowiadania buchaltera”, umiejętność niemal muzycznego wygrania wszystkich efektów nadaje dziełku Wygodzkiego rangę artystyczną. Porównanie z muzyką zdaje się odpowiadać strukturalnej prawdzie tego utworu. Podobnie jak tony muzyczne same w sobie nie są nosicielami żadnych wzruszeń i żadnych treści, a dopiero w zestroju, we wzajemnym stosunku i współbrzmieniu odnajdują swoją estetyczną godność i zyskują walor emocjonalny, tak i w „Opowiadaniu buchaltera” rejestrowane w odpisach fakty są tylko martwymi elementami, a ożywają, prężnieją, nobilitują się estetycznie w ramach całości przez swój układ wzajemny, przez współgranie.

Nie znam nazwy dla tej metody pisarskiej, której Wygodzki zawdzięcza swoje dokonanie. W przybliżeniu można ją określić jako artystyczną faktografię. Ten roboczy termin najściślej chyba odpowiada istotnej strukturze książki. Coś podobnego robił już Witold Zalewski („Traktory zdobędą wiosnę”) i częściowo Józef Kuśmierzek („Uwaga! człowiek”), ale Wygodzki wkroczył na tę drogę w sposób bardziej zwięzły, śmiały i konsekwentny.

WKĄŻDYM razie obserwując na tej drodze Stanisława Wygodzkiego, możemy się czegoś nauczyć. Czego? Zastanówmy się nad jednym.

Tam, gdzie przemawia w „Opowiadaniu buchaltera” dokument, tam, gdzie mówią fakty, gdzie występuje artystyczna i logiczna siła trafnych zestawień kompozycyjnych, gdzie odpis protokołu jest jednocześnie miążdżącą satyrą i bezkompromisowym demaskowaniem kapitalistycznych rekinów będąciskich — nawet najbardziej specjalistyczny detal, nawet najbardziej techniczna uwaga nie tylko nie razi i nie dziwi, lecz przeciwnie — przekonuje i zdobywa akceptację logiczną i estetyczną ze strony czytelnika. Jest to — podtrzymując przyjętą nazwę roboczą — siła realizmu artystycznej faktografii. Ale tam, gdzie autor sam nagle wiazi między fakty i rabie kaganie, np. o zadaniach prasy, już coś trzeszczy w spojeniach, już z powieści czy opowiadania robi się artykuł. Posłuchajmy: „Trochę upraszczacie, chociaż w zasadzie macie rację. Ale nie doceniać znaczenia drukowanego słowa, skoro mówicie, że łatwo wykryć treść, jaką ono zawiera. Zanim się tę szkodliwą treść wykryje, zdolna jest zatruć duszę, umysł i serca tysięcy ludzi. Słowo to olbrzymia broń. Pisać, to znaczy działać politycznie. Walka o czujność, walka o nowe kadry, o własne klasowe kadry, to ta sama walka, jaką i wy musicie przeprowadzić, tyle że my ją prowadzimy na innym odcinku, ale powiedziałbym równie ważnym, jak wasz” (str. 94).

Może trochę upraszczam, ale — moim zdaniem — tu właśnie leży artystyczna przyczyna błędów mnóstwa powieści produkcyjnych: w mechanicznym komentarzu, w zbytnej widoczności autora, w jaskrawym natręctwie interpretacji. Jestem przekonany, że upraszczam tylko trochę.

A oto inny przykład innego problemu technicznego, który z tego samego wyrasta podłoża. W realistycznej koncepcji artystycznej faktografii nawet analiza chemiczna przytoczona in extenso ma walor dający się pośrednio zweryfikować artystycznie. Ale gdy autor sam rabie pogadankę o technologii produkcji — znowu coś trzeszczy w spojeniach, znowu naruszona jest konieczna prawdopodobność realistycznej kompozycji utworu literackiego. No, bo proszę, Wygodzki mówi: „Biel cynkową określamy jako farbę mineralną, której głównym składnikiem jest tlenek cynkowy otrzymywany przez utlenienie pary metalicznego cynku; w wypadku bielej cynkowej oznaczonej „szarą pieczęcią” odsetek tlenku cynkowego odbiegał daleko, bardzo daleko od jakichkolwiek norm” (str. 30).

Maluczko, a przypomni nam się historia ze ślusarzem, który poszedł po holajzę „albowiem z powodu kajli na iberlaufie trychter rzeczywistości robiony był na szoner, nie zaś krajowany i bez holajzy w żaden sposób nie udało się zakrypować lochbajtla w celu udychtowania pufrą, i dania mu szprajcy przez lochowanie štendra”.

Nie chodzi tu o złośliwości, lecz o stwierdzenie, że problem kajli na iberlaufie, przesładowany wielu pisarzy pracujących nad powieścią produkcyjną, problem technicyzmu jest także refleksem zagadnienia wyjściowego, zagadnienia mechanicznego komentarza.

„Opowiadanie buchaltera” ukazuje możliwość ominięcia niebezpieczeństw, a jednocześnie uwyraźnia błędy ich lekceważenia. Nie chcę prorokować, ani kusić, lecz warto namawiać do zastanowienia się.

Oczywiście nie wolno tej metody nadużywać, trzeba by ją wzbog-

ścić, zmodyfikować na miarę własnej indywidualności i własnego bogactwa zebranych doświadczeń artystycznych. W każdym razie odnotować wypada jej przydatność i podkreślić należy zasługę Wygodzkiego w dość pionierskim wypróbowaniu i określeniu granic tej przydatności.

WIELKA szkoda, że sam Wygodzki z własnych doświadczeń nie umiał skorzystać. Jego powieść „Jelonek i syn” po „Opowiadaniu buchaltera” jest wielkim rozczarowaniem. Wystarczy jej musi zamiast omówienia stwierdzenie, że jest nader przeciętnym „produkcyjniakiem”. Ludzie — makiety, konflikty to tylko dwuwymiarowe ilustracje założeń pisarza. Panna przestaje kochać kawalera, gdy kawaler okazuje się obcym klasowo. Finał wiadomy już na początku. Początek przystosowany do finału. Przebieg prawidłowy jak tykanie w zegarku.

A przecież Wygodzki widzi i czuje dramatyczny patos walki o nowy ład społeczny! Przecież potrafił nam ukazać tragiczne zawiązanie tej walki w „Opowiadaniu buchaltera”! Dlaczego nie potrafi przetłumaczyć tego na język powieści? Dlaczego konwencja powieściowa jest dla niego wyrokiem skazującym? Dlaczego komentarz chodzi na własnych nogach? Dlaczego ludzie żyją tylko w fabryce, a nie żyją i w domu? Dlaczego krzywa wzrostu produkcji ma wyjaśniać wszystkie dżgnięcia ich serc, określać wszystkie tęsknoty i wytyczać drogi wszystkim marzoniom?

To nie są pytania retoryczne. To są pytania merytoryczne. Stają nie tylko przed Wygodzkim, stają przed całą literaturą współczesną, a zwłaszcza przed jej powieścią produkcyjną. Pytania te muszą się doczekać odpowiedzi. Zamiast sił się na nią bezskutecznie w ramach tego artykułu wolę go zakończyć pozorną dygresją.

W jednej ze swoich poprzednich książek, w „Widzeniu”, opowiada Wygodzki w tytułowej noweli tomu o matce, która sprowadzona przez dziwnie uprzejmych policjantów do więzienia, gdzie zamknięta jej syna konspiratora, miała go — według intencji łapaczy — mimowolnie zdemaskować. Matka przejrzała fortel. Nie zdradziła się nawet mrugnięciem oka. Patrzyła na syna jak na obcego człowieka. Autor noweli, jeden z pisarzy najbardziej partyjnych, stary bojownik, zasłużony w walkach komunista tłumaczyć to musi wyłącznie zdrowym instynktem klasowym. Nie dopuszcza nawet sugestii, że tak postąpiłby każda matka, nie na zasadzie podświadomego analizowania problemów klasowych, lecz na zasadzie normalnej miłości rodzicielskiej, normalnej mądrości życiowej.

Ten sam pisarz z radością zanotuje głęboką wiarę buchaltera Maciejewskiego, że „według klasyków marksizmu warunki urabiają charakter człowieka, jego umysłowość, moralność, poglądy” (str. 56).

Dlatego też krytyk katolicki i katolicki czytelnik nie zadowolony nigdy jego widzeniem człowieka, jego wpisaniem człowieka w procesy produkcyjne. Inaczej rozumiemy szerokość spraw ludzkich, chociaż za ślepców musimy uważać tych, których patos i ważność i wielkość przebudowy stosunków produkcyjnych nie mobilizuje ku intensywnemu współpracy.

Może ta pozorna dygresja uzasadnia powyższe uwagi?

Zygmunt Lichniak

* Stanisław Wygodzki: „Opowiadanie buchaltera”. Czytelnik, red. L. Kasinek 1951, str. 183.
Stanisław Wygodzki: „Jelonek i syn” powieść. Czytelnik, red. Ola Kierczyńska 1951, str. 267.

Amelia KOWALSKA

COURBET—MALARZ ZIEMI

SPOŚRÓD dwu prawdziwych poszukiwaczy nowego, jakimi byli w połowie XIX-go wieku we Francji Courbet i Manet, Courbet jest tym, który pierwszy wprowadził do malarstwa termin realizmu i rzucił go jako wyzwanie. Malarz ten zjawia się w momencie pew-

rowej, zafiarowany mu z kolei przez Napoleona. W przyszłości Délaacroix nazwie go „nowatorem, rewolucjonistą“. A Ingres wyraził się o nim: „Ce garçon c'est un oeill!“ (Ten chłopak to perła).

W tym okresie Courbet zgłasza corocznie do Salonu „Zranionego

Sukces przychodzi z rokiem 1866 — Salon wystawia „Sarny“, jedną z niezrównanych scen leśnych malarza. Bardziej niż analizy, artysta szuka w niej światła, tak jak w pejzażach morskich — np. „Wzburzone morze“ — poszukuje solidnych płaszczyzn.

W obrazach tych wykazuje całą swą niezrównaną technikę, oddając najsubtelniej delikatny urok leśnego ustronia, wydobywając światłem, którym po mistrzowsku operuje, całą poezję i „nastrój“, co jest pierwszym atrybutem mistrza.

COURBET malował wszędzie, gdzie go oczy nosiły. I o wszystkim co bliskie ziemi, co ziemią samą, o jej życiu tajemnym opowiada artysta z wyjątkową siłą. Wielkość Courbета zawarta jest jednak nie w jego myśli, a w bajecznej technice. Courbet nie transponuje, ale, oddając go z najwerniejszą dokładnością, buduje model, który ma przed sobą. Przejrzystość nieba i wody w „Pejzażach morskich“ czy we „Wzburzonym morzu“ rozbraja nawet najzagorzalszych wrogów. Ciało ludzkie maluje z pasją, oddaje je w jednolitej bryle, solidnej i pełnej, jak żywy marmur. Patrząc na nie mimo woli myślimy o Rubensie czy Renoir.

Wraz z „Pogrzebem w Ornans“, „Kamieniarzami“, „Kobietami wiejącymi zboże“, „Śpiącą przadką“ wchodzi szerokim strumieniem do malarstwa francuskiego ci, którzy stanowili klasę „wydziedziczonych“, wieśniacy, ludzie prości, to co ówczesni nazywali „personnages bas“. I choć Courbet w malarstwie nie wyszedł poza ludowość, było to bardzo dużo na owe czasy. Skandal polegał na pokazaniu rzeczy takimi, jakimi one są, na zerwaniu z idealizowaniem, z alegorią, z konwenansem. Realista z najgłębszego przekonania, z temperamentu, z tendencji, nie był nim jednak Courbet w dzisiejszym tego słowa znaczeniu. Nazywano realizmem wówczas to co dziś nazywano by „prymitywem realizmu“, co co przypominało naturalizm.

Obrazy Courbet to nie tylko las, niebo, morze, droga polna w rodzinnej wiosce, sceny rodzajowe czy liczne portrety, i nie to wywołało gwałtowne ataki przeciw malarzowi. Są płótna, przez które Courbet co innego przekazuje, płótna, które podkreślają istniejącą u artysty zgodność formacji intelektualnej z dziełem. Bo obok pełnego poetycznego uroku „Sarny“ istnieją „Kobiety wiejące zboże“, istnieje „Śpiąca przadka“, a przede wszystkim istnieją „Kamieniarze“.

Ale posłuchajmy samego malarza, który w liście swym w 1849 r. tak pisze: „Stary kamieniarz klęczy, za nim stoi młody, trzymając mocno kosz natłuczonych kamieni. Niestety! W tej warstwie właśnie tak się zaczyna i tak właśnie się kończy!“ Ta wiele mówiąca wypowiedź (należy zaznaczyć, że Courbet często opisywał swe obrazy i robił to po mistrzowsku) ustawia sylwetkę malarza w stosunku do zagadnień społecznych. Postawa Courbet znalazła swój wyraz w jego związkach z ówczesnym ruchem rewolucyjnym.

„Kamieniarze“ i inne obrazy stały się w pewnym sensie wyzwaniem. Współcześni krytycy, nawet ci, którzy z naturalizmem nie mieli wspólnego, przyjęli w stosunku do tych obrazów naturalistyczny punkt widzenia, to bowiem dawało możliwość odjęcia tym dziełom ich społecznego znaczenia.

Ocena twórczości Courbet u współczesnych była bardzo różna. Dwu ludzi: Prudhon i Zola — reprezentujących dwie różne kon-

cepcje pojmowania sztuki, klóciło się o malarza-realistę. Prudhon, określający sztukę jako „idealistyczne przedstawienie natury i nas samych, mające na celu udoskonalenie fizyczne i moralne naszego gatunku“, pragnął przyciągnąć Courbet ku swemu socjalizmowi. W swej książce „O zasadzie sztuki i jej przeznaczeniu społecznym“ pisze on dużo o malarstwie Courbета, usiłując interpretować je z punktu widzenia socjologicznego.

Przeciw tej próbie Prudhona występuje Zola, gorący wielbiciel malarza. Jego Courbet nie jest tym jakim chciał go widzieć Prudhon. Dla Zoli, który wychodził z założenia, że „dzieło sztuki jest wycinkiem przyrody widzianej poprzez temperament“, Courbet jest przede wszystkim wielką indywidualnością. Natura, cała istota cielesna malarza pociągnęła go pczętkowo do malarzy flamandzkich i renesansowych, potem jednak zwraca się w kierunku świata ma-

terialnego, do tego co go otacza. Zola stanął więc na gruncie krytyki naturalistycznej: położył nacisk na wszystko to co w malarzu stanowiłoby reakcje cielesne, położył znak równości między naturą człowieka-artysty, a naturą zwierzęcą. A więc nie tylko Prudhon. Zola również pragnął ująć Courbet w jakies ramki, tym razem były to ramy szkoły naturalistycznej. Nie ulega wątpliwości, że artysta skłaniał się do definicji Prudhona.

Dziś Courbet nabiera właściwego oblicza. Był ojcem całej szkoły. Nie doceniony przez współczesnych przyjęty został entuzjastycznie przez młodą generację, która znalazła w nim mistrza, technika i nowatora. Jego realizm odpowiadał potrzebom chwili: zbyt długo już „unoszono się na obłokach“ — pozostawało jedno: dotknąć z powrotem ziemi.

Potężne dzieło Courbet utworowało drogę francuskiemu impresjonizmowi.



Courbet z psem (autoportret)

1832

nego znużenia i jednostronności w malarstwie. Ingres i Délaacroix, których romantyzm był Courbet jak najbardziej obcy, znajdują się w pełni dojrzałości. Kwitną pejzażyści, ale brak już starych sporów, które elektryzowały opinię publiczną. W niedługim czasie potem miała ona uświadomić sobie całą bezpłodność obu szkół, ponieważ zarówno klasycy jak i romantycy stracili z oczu prawdę. I w tym momencie pojawia się Courbet ze swym mocnym zdrowym rozsądkiem mieszkańca Franche-Comté, głęboką wrażliwością, nienawiścią do wszystkiego co konwencjonalne. Wbrew wszystkiemu i wszystkim Courbet zupełnie świadomie sięga śmiało po nowe tematy: nie sceny historyczne, nie obrazy religijne, nie zmanierowane kobiety czy błyszczący generałowie, ale życie codzienne, postacie ludzi współczesnych — i to tych „wydziedziczonych“, pobudzają twórczą wyobraźnię malarza.

Courbet znalazł się w Paryżu w 1840 r., nie posiadając prawie żadnej kultury ogólnej i nie terminując u żadnego mistrza. Chodzi do Luwru, rozmawia z Prudhonem i z pasją pracuje, stawiając sobie jako najbliższy cel — przyjęcie do Salonu.

W dwudziestym siódmym roku życia (rok 1846) jest już świadomy

człowieka“, który jury odrzuca. Ten sam los spotyka — „Człowieka z fajką“. Wystawia jednak „Wiolonczelistę“, „Człowieka w skórzanym pasku“. Wszystkie te obrazy są kolejnymi portretami samego malarza. O nich to pisze artysta: „Zrobiłem wiele swoich portretów w miarę jak zmieniałem postawę intelektualną. Opisałem jednym słowem swoje życie. Teraz pozostaje mi jeden jeszcze portret do zrobienia — to portret człowieka umocnionego w swych zasadach, portret człowieka wolnego...“ Dzieła następnych lat i życie człowieka stanie się ilustracją do tej wypowiedzi.

Maluje również „Powrót z targu“, „Kamieniarzy“, „Pogrzeb w Ornans“, które wywołują gwałtowne sprzeciwy, zwłaszcza w prasie. Potężny realizm razi, krytycy atakują nie tylko technikę malarza, ale i same postacie jako zbyt „pospolite“. Wrogie nastawienie wzrasta, gdy zjawiają się „Kąpiące się kobiety“ — zwyczajne kobiety, które uformowało twarde życie, a nie dworski salon oraz „Śpiąca przadka“ — tęga dziewczyna wiejska przy kołowrotku, skandal zaś wybucha z pojawieniem się „Dziewcząt z nad brzegów Sekwany“ — płótna oddającego z wielką siłą nastrój upalne-



Brukarze

1848

swej drogi: będzie malował to co widzi i jak widzi. Nie ulegnie się żadnego ze swych wrogów, choćby nim był sam Napoleon III, który szpicrutą uderzył jego „Kąpiące się kobiety“, wystawione w jednym z salonów. Dumnie przeżyje ce-

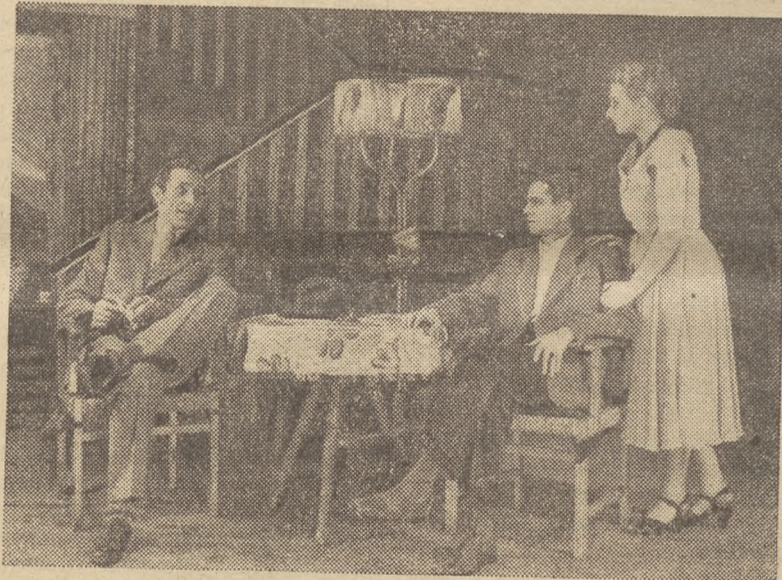
go południa i zmysłowej ociężałości wycoczywających nad rzeką dziewcząt.

Wobec narastającej wokół wrości Courbet rezygnuje ze swej ambicji podobania się i odtąd staje się rzecznikiem i teoretykiem szkoły realistycznej.

H. FAST WE WROCŁAWIU

HISTORYCZNE powieści Howarda Fastry, pisarza, który w roku 1947 więziony był z polecenia osławionej Federalnej Komisji do Badania Działalności Antyamerykańskiej, zdobyły sobie w Polsce uznanie szerokich kręgów czytelników. Howard Fast nie był natomiast u nas znany

lym realizmem zbrodniczych poczynań FBI i dwukrotnego upadku Davy Grahama, sztuka kończy się akcentem optymistycznym, słowami Jane Graham, która stwierdza: „nie wyrzeknę się mojego kraju. Należy on do mnie tak samo, jak do ciebie i do Fullera. Pamiętaj o tym, Davy“.



Państw. Teatr Polski we Wrocławiu. Scena z I aktu sztuki Howarda Fastry „Trzydzieści srebrników“. Od lewej Ludwik Benoît, Adolf Chroński i Halina Drohocka. Reżyseria Czesława Staszewskiego, scenografia Aleksander Jędrzejewski.

jako dramaturg. Dopiero w tym roku wystawiono na scenach polskich jego sztukę pt. „Trzydzieści srebrników“, opartą na zdarzeniach z 1948 r. Grana była ona najpierw na scenie Państwowego Teatru Żydowskiego w języku żydowskim, ostatnio zaś na scenie Państwowego Teatru Polskiego we Wrocławiu.

Autor świetnych powieści historycznych okazał się również świetnym dramaturgiem. Z prawdziwą pasją demaskatorską ukazał w swojej sztuce całą ohydę stosunków panujących w Stanach Zjednoczonych, ohydę wyrażającą się przede wszystkim w dokonywaniu przez państwo ordynarnego szantażu na obywatelach. Autor pokazuje wstręt budzące metody postępowania amerykańskiej „tajnej policji“ (Federal Bureau of Investigation w skrócie FBI). Reakcje obywateli na te metody nie są jednakowe: „pocziwego“ z pozoru, bardzo przeciętnego Davy Grahama, szantaż ten popycha na drogę występku i skłania do fałszywych zeznań. Reakcja jego żony, Jane Graham, jest zgoła inna. Szantaż odślania jej smutną rzeczywistość Ameryki pod rządami Trumana i mobilizuje do walki o lepsze jutro Ojczyzny. Mimo odmalowanych z ca-

Wartość problematyki społecznej i etycznej sztuki Howarda Fastry jest niewątpliwie doniosła — jak mi się wydaje — ponadczasowa. Jak długo istnieć będą kapitalistyczne państwa stanowiąc one będzie oskarżenie ustroju wyzyskiwaczy i pozostanie dokumentem dokonywanych zbrodni. Dzięki tym elementom możemy zaliczyć „Trzydzieści srebrników“ do najlepszych dramatów scenicznych o postępowej problematyce.

Reżyserskie ujęcie przez Czesława Staszewskiego sztuki Fastry było trafne. Interpretacją swoją podkreślił w niej zarówno zbrodnicze metody śledztwa, jak też poszczególne etapy moralnego załamania się Davy'ego. Reżyser uwypuklając wątek główny równocześnie umiejętnie ukazał stosunek obojga małżonków Grahamów do murzynów i przyjaciół Jane z Mildred Aldreus.

Na pochwałę zasługuje Ludwik Benoît. Był on istnym wcieleniem oficera FBI. Niestety, dwaj pozostali odtwórcy ról głównych nie zasługują w tym samym stopniu na pochwałę. Scenografię opracował Aleksander Jędrzejewski, asystentem scenografa był Kazimierz Gac. Sztukę przełożył na język polski Ryszard Ordyński.

Andrzej Joch

FILM

PIERWSZE DNI

SA filmy, które trzeba obejrzeć razem z publicznością. Zobaczenie „Pierwszych dni” w niezbyt przepelnionym kinie (czy tej „powściągliwej” frekwencji nie wywołała zbyt skąpa reklama?) pozwala od razu stwierdzić że film spełnia swoje polityczne zadanie. Entuzjastki filmu to przede wszystkim młodzież. Trudno bez zażenowania słuchać słów, które padają w momentach gorącego oburzenia na dywersyjną robotę bandy — łatwo ulec entuzjastzemu wyrażanemu spontanicznie (a nie częstymi przecież w kinach) oklaskami w momentach kiedy Plewa oddaje fabryce motory, w chwili przełamania się Niedzieli, w czasie sceny zwycięstwa nad bandą.

„Pierwsze dni”, przeniesiona na ekran, nie bez zmian powieść Bohdana Hamery „Na przykład Plewa”, to film będący sukcesem współpracy pisarza, aktorów, robotników ostrowieckiej huty i reżysera. Scenariusz ma trzy wielkie zalety: zwarte, naturalne dialogi, dobry rysunek rozwoju głównego bohatera i najlepsze gatunku humor (może by Hamera próbował swoich sił w komedii filmowej?). Nierozdekamowane dialogi świadczą nie tyle o tym, że Hamera należycie rozumiał funkcję słowa w filmie, ile po prostu o tym, że umie operować realiami psychologicznymi. Potwierdza to fakt iż najlepsze są partie dialogowe tych postaci, które zostały najlepiej zróżnicowane, zbliżone psychologicznie (Plewa, Plewina) zawodzą natomiast w scenach, odbywających się w jakiejś „próżni ludzkiej” (epizody Nieglicki — Marysia, wiele scen w czarnym charakterami).

Autor z nierówną pasją i precyzją buduje sylwetki swoich bohaterów. Żywi ludzie „Pierwszych dni” to Plewa, Plewina, w swojej „urzędowej sylwetce” często Nieglicki, świetnie naszkicowany por. Marciniak. Hamera — i to jest niewątpliwie błąd scenariusza — nie potrafił taką siłą człowieczeństwa, jaką wyposażył Plewę odbarczyć, słusznie wyeksponowanych, ale często papierowych postaci — dyrektora huty, sekretarza PPR, nie potrafił wyjść poza bardzo uproszczony rysunek czarnych charakterów w postaciach wrogów.

Plewa jest naprawdę postacią dynamiczną. Jest żywy, prawdziwy, rozwija się, nikt o nim nie opowiada, on sam o sobie mówi niewiele, ale daje się znać dosłownym tego słowa znaczeniu. To bardzo dużo i to jest wielki sukces scenarzysty. Niemniej w życiu wyrastał, dojrzewał, uczył się nie tylko mądry, uczciwy robotnik. Uczyli się i rzewali także jego kierownicy. Ludzie ci w filmie są tylko hasłami, personifikacją idei.

Hamera, który tak przekonywająco pokazał pozafabryczne życie Plewy, próbował zrobić to samo z Nieglickim. I ta próba wypadła bardzo nieudolnie. Nieglicki jest kochany przez Marysię, nauczycielkę, bardzo nawiasem mówiąc, wypielegnowanych dzieci (w filmie reżyser podzielił dzieci na 2 kategorie: dzieci na ulicy są zwykłe, w miarę obdarzone, a dzieci z 1945 r., żywe i prawdziwe; w szkole Marysi są ładnie ubrane, umyte i jakieś „z obrazka”). O Marysi wiemy tyle, że była w partyzantce, i kocha Nieglickiego. Jego miłość do niej jest pokazana tak błado, że raczej jesteśmy skłonni przypuszczać, iż zareca się z Marysią dlatego, ponieważ to pozwoli mu nie zawracać sobie głowy sprawą jej „idocznej i upartej miłości. Cały ten wątek jest przykry, sztuczny i niepotrzebny. Hamera, który tyle potrafił powiedzieć o robotniku i jego życiu, zawiódł jako piewca tego, co Ważyk nazwał na naradzie filmowej, urodą życia.

Budowa fabuły, poza tą anemią wątku miłosnego, ma zaletę jasności, zwartości i naturalności w wyeksponowaniu sprawy Plewy. Ma szereg doskonale rozwiązanych sytuacji i wątków (przełamanie się Plewy w sprawie zakopanych motorów,

nauka pisania, awans społeczny Plewy i zmiana jej stosunku do pracy męża, scena przestuchania Plewy). Ma także wiele niedopowiedzeń i błędów. Nie jest jasna sprawa Niedzieli. Ile w jego wrocie wobec fabryki postawie zawinił dyrektor, z góry nie mający do niego zaufania? Dlaczego Niedziela zmienia od razu nie tylko stosunek do fabryki, ale i do Plewy? Czy ta jego zmiana nie dowodzi właśnie, że zrobiono mu krzywdę?

Zupełnie fałszywa jest historia zamachu na porucznika Marciniaka, którego tak łatwo było zastrzelić (znowy broni palnej twierdzą zresztą, że ta scena jest dowodem, iż ani reżyser, ani aktor grający bandytę, nie umieją strzelać). Dlaczego widocznym w dzień wartownik pilnujący lokalu władz bezpieczeństwa nie pełni służby w nocy? Dlaczego porucznik, który poprzednio mówi Plewie o niebezpieczeństwie i obowiązku czujności sam siedzi w odsonowanym i oświetlonym oknie niestrzeżonego lokalu? Dlaczego wreszcie, i to jest najważniejsze, śmierć Marciniaka kwituje się tylko krótką rozmową jego towarzyszy i sugeruje się przez to, że nie wywarła żadnego wrażenia na robotnikach. Dlaczego zamach nie powoduje żadnej akcji znalezienia bandytów, ukarania winnych.

Cała sprawa walki z bandą i dywersją została nieprzekonywająco ustawiona. W ujęciu filmu walka, którą partia i władze bezpieczeństwa prowadzą z bandą polega na tym, by nie dopuścić, aby dywersanci przeskoczyli w planowym uruchomieniu fabryki. Banda ma przez cały czas swobodę inicjatywy. Sądzę, że w filmie na reprimendę por. Marciniaka za brak czujności zasłużyli więcej niż Plewa dyrektor fabryki i sekretarz PPR. Dlaczego dyrektor, któremu Plewa mówi o tym, że namawiano go na sprzedaż fabrycznych motorów nie zainteresował się tym, kto wykupuje od robotników sprzęt fabryczny? Dlaczego sekretarz partii nie interesuje się robotnikami, którzy buntują swoich kolegów? Dlaczego zapowiadają robotnikom, że o wrogach nie zapomną, a nie mobilizują ich do współpracy nad znalezieniem i wyłapaniem dywersantów? Są i niedomówienia. Nie wiemy co wpływa na to, że władze widząc na jakim odcinku banda działa, nie starają się jej zlikwidować. Nie bardzo także rozumiemy dlaczego mąkę przewozi się samochodem do huty, ryzykując nie dojście transportu na czas, skoro mąka jest na stacji kolejowej a istnieje działający, jak nam pokazano w poprzednich scenach transport kolejowy.

Największą zasługą reżysera jest wybór, dobrych wykonawców głównych ról filmu. Doświadczeni aktorzy potrafili zgrać się z „naturalistyczkami” i dać trafny, przekonywujący ciepły obraz środowiska robotniczego. Obok dobrych pierwszych scen filmu pokazanych z dużą troską o szczegóły, o cały drugi i trzeci plan akcji, już od początku napotykały łatwizny w filmowym konkretyzowaniu poszczególnych epizodów. Są niepotrzebne rekwizyty czarnych charakterów (jest marynarka w kratę, która w polskich filmach nabrała już wymowy diabelskiego ogona, jest walenie się nogami na kanapę, chesterfieldd, które stały się już prawie dowodem rzeczowym reakcyjnych poglądów, jest inżynier którego sposobem siedzenia na wlecu, pogardliwa mina od razu zanim przemówi zdradca wroga klasowego). W miarę rozwoju akcji troska o szczegóły tak dobrze przez chwilę — świadcząca o reżyserze niknie. Na początku wydaje się widzowi, że wie gdzie jest huta, gdzie miasto, że wszystko się odbywa w jakimś konkretnym tle, w konkretnym miejscu. Później jednak traci się konkretność tego obrazu. Znamy jakieś chwytne wycinki topografii. (W scenie dyrektor — Plewa) raz daleko od fabryki (w scenie ucieczki dywersantów), nie wie-

my czy huta jest bardzo daleko od miasta, (raz Plewa mieszka blisko, raz daleko). Gdzie szkoła, restauracja, droga, tory, lasek. To wszystko zostało nieumiejętnie, chwiejnie rozmieszczone, nie połączone w jakiś obraz terenu akcji.

Reżyser, który poradził sobie z umieszczeniem bohaterów w realiach fabryki, nie umie umieścić fabryki w realiach miasteczka.

Są sceny zupełnie chaotyczne i nieprzemysłane, takie jak przede wszystkim bitwa z bandą, w której nikt na widowni nie wie kto do kogo strzela, gdzie jest wojsko, gdzie robotnicy gdzie bandyci. Odnosi się wrażenie jakby reżyser uspokojony tym, że sam wie gdzie co i kogo umieścić, nie potrafił przekazać tego widzowi.

Aktorsko film jest przede wszystkim wielkim sukcesem Ciecior-

go w roli Plewy. Świetny aktor, który jak powiedział, uczył robotników występujących w filmie grać samych siebie, sam potrafił stworzyć żywą prawdziwą postać robotnika. Plewa Cieciora jest wyrazisty, bliski, naturalny w każdym geście, każdym słowie dialogu. Doskonale jest także Hanka Bielicka-Plewina, Niewijowski w epizodycznej roli por. Marciniaka, Mikołajewski — Niedziela i Fleszar w mało psychologicznie rozpracowanej, więc trudnej roli sekretarza PPR. Leopold Nowak dla widzów pozostał Tomkiem Spojdą. Młodzi widzowie głośno wyrażali swoją nieufność kiedy „Tomek” zapewniał, iż wróci do fabryki jako inżynier, twierdzili bowiem że to nie prawda. Wszyscy przecież wiedzą, że zostanie lotnikiem.

Na marginesie sprawa programu i materiałów informacyjnych redagowanych przez CUK. Materiały te są niewątpliwie (a w każdym razie

powinny być) jakimś niezbędnym dla piszącego o filmie źródłem informacji. Poza czołówką i życiorysami reżysera i autora scenariusza jest tam streszczenie filmu napisane polszczyzną wołającą o pomstę do nieba i pełne najbardziej bombastycznej frazeologii. Jeśli streszczenie jest w takim biuletynie potrzebne, powinno być zredagowane możliwie starannie, być może że lepiej by było zastąpić je znacznie ciekawszymi dla kina recenzentami (który musi zobaczyć i a więc znać jego treść) wypowiedziami autora scenariusza, reżysera czy aktorów zawodowych i niezawodowych. Program także nie powinien być zlepkiem frazesów publicystycznych, ale rzetelną informacją o filmie, o pracy nad nim, może powinien być utrzymany w typie recenzji informacyjnej, może jak w biuletynie dobrze byłoby dać jakieś wypowiedzi twórców i wykonawców filmu.

Leszcz

Włodzimierz WNUK

Z PRAC SOPOCKIEJ SEKCJI PROZY Z.L.P.

O książkach Wybrzeża

LITERACI, skupieni w Oddziale Gdańskim Z. L. P., doczekali wreszcie chwili, kiedy „na cenzurowanym” sekcji prozy znalazły się ich własne książki. Po zebraniach poświęconych dyskusji nad M. Brandysem, Zukrowskim, Kruczkowskim, Kuśmierkiem (nie licząc wielu posiedzeń z r. 1950 — 51) przysła koleją na pisarzy Wybrzeża: Marię Boniecką i Franciszka Fenikowskiego. Co prawda Boniecka należy obecnie do Oddziału Szczecińskiego Z. L. P., ale przez szereg lat kandydowała w Oddziale Gdańskim, toteż jest w nim uważana poniekąd za „swojąka”.

Na warsztat dyskusyjny poszła na przykład powieść Bonieckiej „Nad Wielkim Zalewem” (Książka i Wiedza 1950). Powieść tę, dedykowaną przez autorkę rybakom z nad Zalewu Szczecińskiego i przedstawiającą środoisko tamtejszej spółdzielni rybackiej, omówiła Irena Przewłocka. Omówienie to wypadło dla autorki nader korzystnie. Referentka oceniła powieść jako dobry przykład pisarstwa realistyczno-socjalistycznego, ukazującego postulowany schemat w sposób artystyczny. („Flaszen nie mógłby tutaj wystąpić ze swym oskarżeniem”). Prosta wyrazu, pogłębienie psychiczne postaci, podmalowanie tła osobistego i klasowego człowieka, nie odwracanie się od trudności współczesnego nam życia — to główne plusy powieści. Autorka umie szczególnie dobrze włączyć metodą introspekcji w charakterystyce postaci jak również i metodą retrospektywną, wywoływaniem obrazów z przeszłości dla zrozumienia teraźniejszości. W osobie Szymona, bohatera powieści, odmalowała Boniecka jakby hamletyzującego robotnika, czyniąc słyszny wyłom w dotychczasowej tradycji przypisywanej tylko inteligentom podobną postawę wobec życia. Podkreślając te, jak widzimy, niemałe zalety książki, referentka zaznaczyła, iż autorka nie ustrzegła się niestety od pewnej deklaracyjności, jak również i od pewnych uproszczeń „czarno-białych”, wstępujących zwłaszcza w drugiej części powieści, artystycznie słabszej.

Posiedzenie, na którym omawiano „Nad Wielkim Zalewem”, obfitowało w niespodzianki. Bo tak, jak referentka, zazwyczaj surowa w ocenie krytycznej, osądziła tym razem dyskutowaną książkę zdecydowanie in plus, tak znowu koreferentka, z natury swej krytyk arcyłagodny, zaatakowała książkę i to ostro! W dyskusji padły głosy pod wieloma względami solidaryzujące się z oceną referentki, jakkolwiek nie brakło głosów przeciwnych, popierających stanowisko koreferentki

Zwrócono uwagę m. in. na całkowite pominięcie w książce problemu ludności autochtonicznej, na odarcie powieści z kolorytu lokalnego, zaznaczonego w minimalnym stopniu. Zarzucono również autorce, że aktywności w spółdzielni rybackiej uczyniła wyłączenie ludzi, którzy przeszli przez Dywizję Kościuszkowską (Dureczok, Laudański), bądź wyrosli w tradycjach walk rewolucyjnych 1905 (Szymon), bądź — jak Niemka Berta — przebywali w obozach koncentracyjnych za komunizm. Jak gdyby ludzie, którzy w przeszłości przeszli przez inne koleje losu i inne drogi światopoglądowe, nie byli zdolni do przeobrażenia się ideowo, do przodowania w pracy spółdzielczej.

Z niemałą emocją oczekiwano dyskusji nad książką Fenikowskiego pt. „Zakręt pięciu gwizdków” (Wydawnictwa Morskie 1951). Boć to przecież nie tylko pierwsza powieść poety, związanego tak ściśle z „trójmiastem”, ale i pierwsza powieść o odzyskaniu Gdańsku i jego mieszkańców. Tytuł, tajemniczy dla „łado-wych szczerów”, ma swoją wymowę dla Gdańszczan i marynarzy: każdy stalek wpływający do portu gdańskiego musi na ostrym zakręcie dać pięć krótkich ostrzegawczych gwizdków celem uniknięcia awarii. Ale tytuł książki Fenikowskiego ma jeszcze inne, głębsze znaczenie: bohater jej, Paweł, po powrocie z emigracji do kraju, do Gdańska właśnie, gdzie objął pracę w stoczni, znalazł się na ostrym, niebezpiecznym zakręcie życiowym. Musiał w pewnym momencie zdecydować: czy dać się wciągnąć w robotę destrukcyjną, sabotażową, czy też włączyć się szczerze, całkowicie w służbę dla państwa ludowego, zrywając wszelkie więzy z obcymi agenturami i unicestwiając ich wroga działalność. O tym podwójnym zakręcie, który Paweł musiał przeżyć wracając do kraju mówi nam powieść młodego pisarza gdańskiego (a raczej gdynskiego, bo Fenikowski osiedlił się w Orłowie), znanego dotychczas przede wszystkim z utworów poetyckich i reportażów literackich. „Zakręt pięciu gwizdków” prowadzi czytelnika w ślad za Pawłem w środowisko stoczniowców gdańskich, w codzienne życie mieszkańców dziejowego Gdańska i w jego atmosferę.

Omawiała książkę Fenikowskiego Eugenia Kobylńska. Po wstępnym stwierdzeniu, że fabuła powieści jest raczej banalna, a jej problematyka niezbyt może głęboko sięgająca, powiedziała referentka o „Zakręcie” wiele ciepłych, ba, gorących słów (interesująca akcja, i humor umiła i ciekawe lekturę, osobliwy, a tak piękny

szający książkę koloryt gdański, sceny z osobistego życia, wierne, prawdziwe — umiar w charakterystyce bohaterów pozytywnych i negatywnych — oto najważniejsze bodaj z zalet książki, wnikliwie przez referentkę zanalizowanych. Nareszcie mamy powieść par excellence współczesną i ideologicznie słusznie nastawioną, a przecież wolną od nużącego, niestrannego schematyzmu. Swoje uwagi zamknęła referentka w słowach: „Powieść ucziwa, zajmująca, barwna, lekka, przeznaczona dla najszerszych mas, lektura pomocnicza dla malkontentów i ludzi chwiejnych — warto ją postać za granicę, naszym emigrantem”.

No, powiedziecie, o jakiej innej współczesnej polskiej powieści możnaby wydręć taki sąd? A nie jest to odosobniona opinia, większość uczestników dyskusji (wraz z niżej podpisanym) przyłączyła się do zdania referentki. Nestor pisarzy Oddziału Gdańskiego, Gustaw Olechowski, oświadczył wprost: „Kolega Fenikowski dokonał wielkiej rzeczy — napisał bowiem ucziwa, dobrą powieść, która trafi do mas”. W tym miejscu przewodnicząca sekcji wezwała obecnych do opamiętania się: czyżby istotnie same tylko zalety cechowały „Zakręt pięciu gwizdków”? Przyparły do muru dr Olechowski przyznał, że książka ma dwie wady główne: jest mało skondensowana i mało dramatyczna, ale ostatecznie mamy do czynienia z pierwszą powieścią autora, a najwięksi nawet pisarze tak właśnie pisali pierwsze swoje książki.

Nie brakło i innych zarzutów. Zwłaszcza w wypowiedzi Zbigniewa Czajkowskiego, który, podkreśliwszy autentyzm jako dominującą cechę powieści, wytknął jej przesotę sensacyjności oraz skazę deklaracyjności (co do tej ostatniej zdania były podzielenie). Zaatakował on również książkę za jej słabą podbudowę intelektualną, np. proces przemiany ideowej bohatera powieści oparty jest na czynnikach wyłącznie niemal emocjonalnych, co splyca jej problematykę.

W sumie jednakże Franciszek Fenikowski wyprzedził zwycięsko z burzliwych nurtów dyskusji „Zakręt pięciu gwizdków”, to niewątpliwie udany debiut powieściowy młodego poety, to książka, która z pewnością dotrze do szerokiego rzesz czytelników, bo jest powieścią „ucziwą”, zajmującą, barwną, „lekka” — a to wiele znaczy. Wprawdzie powiedział o niej ktoś na Wybrzeżu, że problem ma „cherlacki”... No cóż, znamy szereg współczesnych pisarzy, w których problem jest żelazobetonowy, ale która mało kto czyta.

List do redakcji

Proszę uprzejmie o umieszczenie paru słów sprostowania w związku z ogłoszonym w nrze 9 „Dziś i Jutro” sprawozdaniem sekcji poezji ZLP w Warszawie w dn 13 lutego br.

Nie zarzucałam Przybosiowi „młodopolszczyzny, smetnego korowodu frazów”. Przeciwnie — jako znakomita zasługa tego poety podniosłam zwalczanie młodopolszczyzny i smetnego korowodu rozwiązanych sytuacji i wątków (przełamanie się Plewy w sprawie zakopanych motorów,

natomiast poecie autoreminiscencje itd. Chciałabym również sprostować zdanie dotyczące Wisławy Szymborskiej, która — jak pisze sprawozdawca — „zdolała sobie pozyskać sympatię całej sali z jednym chyba wyjątkiem Janiny Preger”. Sympatię podzielał — nie podzielał o c e n y i twórczości W. Szymborskiej.

Te nieporozumienia w sprawozdaniu wynikły zapewne ze spóźnionej porady — jako też z braków mojej wypowiedzi.

Janina Preger

Kopczyński — Dybowski

S ALE ocalałego z zawieruchy wojennej warszawskiego gmachu „Artibus“, goszczą przez cały marzec eksponaty trzech samodzielnych wystaw: Kopczyńskiego — zabytkową architekturę polską, Dybowskiego — pejzaże olejne oraz Kulisiewicza — grafikę i rysunki.

się w 1882 r. Studiował w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, a profesorami jego byli Unierzyński (uczeń Matejki), Axentowicz i Malczewski. Odbył podróż do Włoch: tam pogłębił swe wiadomości. Ulubioną jego techniką jest akwarela. Fascynowały go zawsze widoki i za-

równie doskonałego i o wysokich walorach artystycznych płótna Kopczyńskiego również o tematyce warszawskiej pt. „Jesień 1914“. Obraz ten zaginął podczas działań wojennych. Autor wystawił obecnie tylko reprodukcję jego zamieszczoną na tytułowej karcie Tygodnika Ilustrowanego z 19 grudnia 1914 r., pod którą Artur Oppman zamieścił wiersz:

„Od pożarów się strzechy
płomienią,
Drżąca nędza stanęła u wrót
I wędrują z tą polską jesienią
Sine widma: zaraza i głód“.

Dalej widzimy obrazy przedstawiające budowlę Starej Warszawy: Dom Mochnackiego przy ulicy Długiej, Sien Kilińskiego przy ul. Szerokiej Dunaj, Wielkanoc na Kamionku, Siedzibę Starowarszawskich Rybaków nad Wisłą, najstarszą część Zamku Królewskiego, Pierwszą Poczta na Krzywym Kole, Kościół OO. Paulinów, Saską Kępę zanikającą, część ul. Kanonii i cały szereg innych pamiątek stolicy.

Nie widzieliśmy dotąd w Zachęcie tak wielkiego bogactwa architektury i sztuki kościelnej, tak wielu pamiątek po dawnej Warszawie, jak na wystawie Br. Kopczyńskiego. Wymieńmy tylko kilka: sylwetka Kościoła OO. Pijarów nad Wisłą, Matka Boska na Krzywym Kole, Chrystus na ul. Gołębiej, wspaniała budowla klasztoru OO. Benonów, a dalej kościół w Darłowie tonący w zieleni, wieżyca Katedry w Świdnicy, pełna znakomitej sztuki architektonicznej, fragment wnętrza Kościoła N. M. Panny w Toruniu, romantyczny motyw kapliczki wśród drzew w Swarzewie nad Bałtykiem, w której — w myśl miejscowej legendy — bije cudowne źródło o niezwykłych właściwościach uzdrawiających.

Odbudowa miast w Polsce Ludowej znalazła też wyraz w obrazach Kopczyńskiego jak np. Warszawy (kościół św. Krzyża i Powiśle), Gdańska (wieżyca Króla Zygmunta) i inne.

Dobrze uchwyconą kompozycją z doby współczesnej jest olej pt. „Tydzień Książki w Świdnicy“.

Wszystkie eksponaty w ilości 153 sztuk, czarują żywością ujęcia, światłocieniami i pięknym realizmem.

Z chwilą odzyskania Ziemi Zachodnich wyjechał Kopczyński z paletą i sztalugą w tamte strony, by liczne dowody odwiecznej polskości tych stron odszukać i przenieść na karton a tym samym silniej ziemię tę zespolić z Macierzą.

STANISŁAW DYBOWSKI pejzażysta wsi polskiej

Warszawianin, urodził się w 1895 r. Wzrastał w twardej warunkach życia. Szkoła Rysunków założona w Warszawie przez Wojciecha Gersona, studia w Rosji u Katurlina, Szkoła Sztuk Pięknych w Warszawie, pracownie profesorów Tichego i Skoczylasa — oto etapy jego studiów. Poza tym szkoła była mu naturą, to prądoznictwo sztuki. Zwiędził Francję i Włochy. Pierwszą wystawę swych płócien urządził w Paryżu; osiągnięty tam sukces wzbudził zainteresowanie w kraju, gdzie na wystawach w stolicy i Łodzi zdobywał nagrody i medale.

Pracuje stale w plenerze. Dybowski bowiem był i jest upartym włóczęgą po wsiach polskich i nie ma chyba w Polsce drugiego malarza, który by z podobną pasją i z taką tęsknotą oraz miłością ciągnął na wieś polską. Do tej tematyki pod-

chodził z wielkim zrozumieniem i właściwym sobie entuzjazmem, odzwierciedlając z bogactwem uczucia urok wsi i jej nastrój.

Toteż na obecnej wystawie prac Dybowskiego wiele miejsca zajmuje wiejskie budownictwo polskie. Każda zagroda ma swój styl etnograficzny, swój charakter, po którym poznaemy z łatwością chatę podlaską, krakowską czy mazowiecką. Na specjalne wyróżnienie zasługuje chata z żółtawym na Podlasiu oraz wiszący obok olej, przedstawiający obszerny dom mieszkalny na żyznej ziemi lubelskiej. A nad każdą zagrodą zawisło inne niebo, w zależności od pory roku, dnia i naświetlenia, a wszystkie nieba wymowne, szarmonizowane z całością i oddane subtelnie. Oto zalety prawdziwego pejzażysty jakim jest Dybowski.

Dybowski jest malarzem-poetą, w sztukę wkłada pełnię uczucia. Wszystkie jego obrazy przemawiają bezpośrednio. Wiele nastroju wywołuje przedstawiony w silnych kontrastach Ogród Klasztorny w Kazimierzu nad Wisłą, głębokim ro-

mantyzmem technicznie obraz wioskowego, chylącego się krzyża nad polną drogą, nad Narwią, wzniesionego ongiś na ubliżanie Stwórcy, by odwrócić zarazę, która siała wokół śmierć.

Niezwykły wdzięk otacza murywaną kapliczkę przydrożną z dwoma filarami i sygnaturką, z okolic Zakopanego.

Dobrze skonstruowane pejzaże Dybowskiego, odznaczające się soczystym kolorem i dużą kulturą harmonii barw, rozśiewają wokół urok i aromat traw i kwiatów łąk wioskowych. Oto niektóre jeszcze ich tytuły: Chata o zachodzie, Wiatrak na Podlasiu, Mostek, Szuwary, Staw, Snopy, Pastwiska, Łubin, Stodoła, Zagroda, Kwiaty i inne.

Artysta wystawił 61 prac całość swej twórczości w Polsce Ludowej. Przedwojenny jego dorobek, wyrażający się liczbą ponad dwóch tysięcy obrazów, rzutów kompozycyjnych i studiów, spłonął doszczętnie z całą pracownią w czasie Powstania Warszawskiego. Ta bogata twórczość szukająca ciągle ulubionych obiektów, ta pracowitość nieustanna, pozwoliły artyście osiągnąć wyżyny sztuki, jakie widzimy na obecnej wystawie.

W skrócie telegraficznym wspomnieć tu jeszcze należy, że Dybowski ma na swym koncie wnętrza chat z najbardziej etnograficznych dzielnic Polski. Tymi pięknymi planszami zainteresowała się Samopomoc Chłopska i wydała je drukiem, jako karty pocztowe.

Jeśli obejmiemy uwagę całość wystawy Dybowskiego z artystycznego punktu widzenia, to widoczna staje się ciągłość tradycji polskiego malarstwa. Artysta jest zapalonym wielobiciem malarzy tej miary co Chełmoński, Szeremetowski, Kotsis, Olga Boznańska i inni, daleki był jednak od naśladowstwa i poszedł wyrażną drogą o pełnym akcentie realistycznym.

Józef Kobylański



St. Dybowski: Wiatrak na Podlasiu

Różnorodność tematyki trzech artystów wniosła — w myśl maksymy „Varietas delectat“ — niezwykle ożywienie do sal zasłużonej Zachęty. Kulisiewicza omówi kto inny. Zajmijmy się Kopczyńskim i Dybowskim.

BRONISŁAW KOPCZYŃSKI piewca Starej Warszawy

D WIE sale jaśnieją żywym kolorytem akwarel jednego z nieśmiertelnych już nestorów polskiej plastyki — Br. Kopczyńskiego. Jest on dzieckiem Warszawy, gdzie urodził

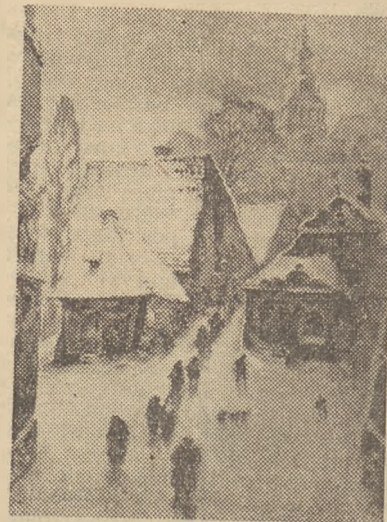
się w 1882 r. Studiował w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, a profesorami jego byli Unierzyński (uczeń Matejki), Axentowicz i Malczewski. Odbył podróż do Włoch: tam pogłębił swe wiadomości. Ulubioną jego techniką jest akwarela. Fascynowały go zawsze widoki i za-

katki Starej Warszawy, Starego Krakowa, Lublina i innych miast. Pierwsza wystawa w Zachęcie w 1916 r. przynosi artyście duży sukces, staje się malarzem Starej Warszawy i pozostaje nim po dzień dzisiejszy. Sylwetka Kopczyńskiego jest dobrze znana w Grodzie Syrenim. Jest to talent twórczy o silnej indywidualności.

Artysta podczas ostatniej wojny szczęśliwie zachował swe obrazy. Obecna wystawa w Zachęcie przesuwając przed oczyma widzów dawną architekturę świecką i kościelną, przede wszystkim Starej Warszawy. Najkapitałniejszym eksponatem jest duży obraz olejny o rozmiarach 270x176 pt. „Wczoraj“ przedstawiający przegląd dawnych typów warszawskich na ulicy Kamienne Schodki na Starym Mieście, przy skrzyżowaniu ulicy Bugaj. Na przedzie idzie świetny trubadur w pelerynie i szerokim kapeluszu, śpiewający przy wótrze mandoliny, obok Bułgar z małpka na łańcuszku, tańcząca w takt tamburlina, ekscentryczny góral spod Nowego Targu sprzedający fujarki i koszyczki na kwiaty, szlifierz zgłaszający swe usługi uderzeniem żelaza o toczydło, idzie nie bez dumy katoryniarz-wirtouz... z papugą przy losach szczęścia; widzimy znany w Warszawie duet czeski (harfa i skrzypce), jest i lodziarz, a także „sachar mrożony“, a dalej wędrowni magik i akrobata z parawanikiem, postaniec spieszący z bukietem, stolarz podwórzowy z piłą, rewiry o sumiastym wąsie, stróż z motlą i wielu innych. Po typach tych, tak charakterystycznych dla dawnej Warszawy, pozostały tylko wspomnienia.

Kompozycja ta stanowi chyba najlepszą pozycję artysty. Osiągnął w niej Kopczyński wyżyny swego talentu, tak pod względem inwencji, świetnie wybranego odcinka Starego Miasta, jak doskonałego opanowania techniki, nieskazitelnej perspektywy głębi, uplasowanie osób, idealnego oddania patyny murów oraz subtelnej i dużej skali barwnej. Trafność obserwacji i gruntowna znajomość tematu sprawiły, że dzieło to jest odbiciem rzeczywistości i prawdy historycznej epoki, w której żył artysta.

J. K. Brak, niestety, na tej wystawie



Br. Kopczyński: Stara ulica w Kłodzku

Z Filharmonii Warszawskiej

TRZECI z cyklu „symfonia Piotra Czajkowskiego“ koncert symfoniczny Państwowej Filharmonii w Warszawie (15 i 16 marca) poprowadził czeski dyrygent i kompozytor Jaroslav Krombholc (ur. 1918), od roku 1940 pełniący funkcję dyrygenta czeskiego teatru i czeskiej filharmonii w Pradze.

Już pierwszy punkt programu, świetna „Sui generis“ Andrzeja P. Wulfnika przekonał mógł słuchaczy, że precyzyjna technika czeskiego gościa, połączona z wielką wrażliwością, pozwala mu znakomicie nawiązać kontakt z orkiestrą, co daje możliwość uzyskiwania wspaniałych efektów dynamicznych, jak np. w niektórych partiach koncertu wiolonczelowego Dworzaka.

Słuchając tego koncertu trudno oprzeć się uczuciu podziwu dla niesłychanego bogactwa rytmicznego i melodyjnego Dworzaka (1841 — 1904). Tematy zjawiają się zupełnie nieoczekiwanie po to, by za chwilę ustąpić miejsca innym, nowym: znac w tym niezwykłą hojność, a nawet rozrzuć inwencji twórczej. Przychodzi na myśl kontrast: Bethoven, który z każdego z tych tematów potrafił by wykręcić jedną część symfonii. Z jednej strony szeroki gest Słowianina, który pełną dłońią rozsiewa bogactwa swego talentu, z drugiej Niemiec: umiejętnie, zapobiegliwie, z naukową precyzją gospodarujący swą genialną muzyczną inwencją. I — być może — tu właśnie tkwi i siła i słabość techniki kompozytorskiej Dworzaka: słuchacz czuje się wręcz oszołomiony niewyobrażalnym bogactwem tematyki i rytmiki, doznaje wrażenia, jakich doświadczają się po nierazym, wieloletnim zwiedzaniu niekończących się galerii obrazów. Na szczęście, w sukurs przyszła wielka kultura muzy-

czna solisty i dyrygenta, którzy zawsze umieli wydobyć zasadniczy watek muzycznej myśli kompozytora, dzięki czemu koncert ów stał się dla słuchaczy nieprzemijającym przeżyciem artystycznym.

Solista koncertu, Kazimierz Wiłkomirski, wykonał koncert wiolonczelowego Dworzaka (h-moll, op. 104) z wrażliwością i szlachetnością tonu i świetnością niezawodnej techniki, co w połączeniu z doskonałym opanowaniem partytury przez dyrygenta wywarło na sali głębokie wrażenie.

Twórczość Piotra Czajkowskiego (1840 — 1893) zwykło się nierazko uważać za przejaw kierunku „zachodnio-europejskiego“ w muzyce rosyjskiej XIX-go wieku. Zwolennicy tego tradycyjnego poglądu są zdania, że nawet typowo ludowe tematy przyoblekał Czajkowski zawsze w szatę „zachodnio-europejską“. Zamiast polemizować z tymi — nielicznymi zresztą — przedstawicielami tego poglądu, można by podjąć się obrony tezy wprost przeciwnej: że nawet najbardziej „zachodnia“ forma muzyczna uzyskuje w twórczości Czajkowskiego charakter na wskroś rosyjski. Dla słuchaczy ostatniego koncertu przykładem słuszności tego twierdzenia mógł być walc z wykonanej III-ciej symfonii D-dur (część druga, zatytułowana „alla tedesca“). Czajkowski „zrusyfikował“ tego walc tak samo, jak przedtem Chopin „spolenizował“ hiszpańskie „Bolero“ (a-moll op. 19) które jest właściwie polonezem, wloską „Tarantellę“ (As-dur, op. 43) przypominającą... mazurka, lub wreszcie wspaniały duet „Ja ci darem la mano“ z mozartowskiego „Don Juana“, którego w swoich wariacjach (Op. 2) przerobił także nasz polonez.

Czesław Krzewski

Redaktor Naczelny: Bolesław Piasecki. Komitet Redakcyjny: Jerzy Hagmajer, Dominik Hornyński, Wojciech Kętrzyński, Janina Kolenda, Mieczysław Kurzyński, Zygmunt Lichniak, Konstanty Lubiński, Andrzej Micewski, Zygmunt Przelakiewicz, Ryszard Reiff, Jan Szykowski.

Adres Redakcji i Administracji: Mokołowska 43 i p. tel. 880 71.880 26 Konto PKO — Nr 1-727. Sekretarz redakcji: Zygmunt Przelakiewicz, czwartki i soboty godz. 11 — 13.

Wydawca: Kolegium Redakcyjne. Prenumerata miesięczna 1.80 złotych. Kwa. talnie 5.40 złotych. Drukarnia „Akademicka“ w Warszawie. Tamka 3. Zam. 1020. 3-B-15445.